Nr. 60. Lwów — Środa dnia 13 Marca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Dziś: Śr. | św. Rozyny i R. | Śr. | 1 Marta. Ewd.
Jutro: Cz. | św. Matyldy | Cz. | Fteodota
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 6 m. 25
Zachód „ „ 5 „ 56
Długość dnia g. 11 m. 31
Przybyło dnia od wczoraj m. 5

Ponieważ I kwartał ma się ku końcowi, przeto upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona z przesyłką pocztową na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za każdą zmianę adresu należy zapłacić 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 12 marca.

Odwołanie z Wilna jeneralnego gubernatora Orżewskiego wywołało naturalne pytanie: kto będzie jego następcą? Sądząc ze wszystkiego, co z Petersburga do różnych dzienników donoszą, każda nominacya przedstawia tam wielkie trudności, bo ciągle jeszcze walczą ze sobą dwa stronnictwa, z których jedno, biurokratyczne, chciałoby niepodzielnie rządzić państwem w duchu poprzedniego panowania, drugie zaś domaga się jakichś zmian, jeśli nie w zasadach, to przynajmniej w metodzie postępowania. A ponieważ w państwie despotycznem kierunek rządów nietyle zależy od praw, ile od osób powołanych do steru, przeto tam każda nominacya, choćby była wyłącznie administracyjną, ma ważne polityczne znaczenie i oznacza zwycięstwo lub przegranę jednego z dwóch walczących ze sobą stronnictw. Każdy posterunek, uroniony przez jedno z nich, jest zdobyczą drugiego. Z tego właśnie powodu dość długo niepewne było powołanie hr. Szuwałowa do Warszawy, a jeszcze dłużej trwały starcia, zanim tekę ministra spraw zagranicznych otrzymał ks. Łobanów. Przeciw niemu spiętrzono tyle intryg, że w końcu on sam zrzekł się kandydatury i wyjechał do Wiednia, aby Cesarzowi przedstawić swe listy odwołujące, a potem udać się do Berlina na urząd ambasadorski. Wówczas to klika popowiczowska, która nie chce dopuścić do rządu arystokracyi, lecz woli albo swoje kreatury, albo ludzi bez głośnego nazwiska i majątku, którzyby szli na jej pasku, uznała się zwycięską i ministrem spraw zagranicznych już obwołała p. Staala. Ale wtedy carowa-wdowa zatelegrafowała do ks. Łobanowa, wyrażając mu żal, że opuszcza jej syna w chwili dla niego tak trudnej i tem zmusiła księcia do odpowiedzi z Wiednia depeszą, że tekę przyjmuje. Otóż te same walki powtórzyły się teraz, gdy skompromitowanego Krożami i łapówką, daną Kantakuzenowi, Orżewskiego trzeba było z Wilna odwołać. Intrygi i starcia są tym razem jeszcze większe, bo wysunięto kwestyę przyszłości prawosławia i rosyjskiej sprawy na Litwie. Obie strony tak się zacięły, taki chaos wprowadziły w stosunki, że rozstrzygnąć sprawy poprostu niepodobna. Wynurzył się tedy projekt pośredni: całkiem znieść urząd jeneralnego gubernatora na Litwie, aby w ten sposób oba obozy wyszły z kwitkiem. Racyę państwową podano taką, że oto stan rzeczy na Litwie jest już normalny, a zatem nie potrzeba tam żadnej wyjątkowej władzy, jaką jest jeneralno-gubernatorska, obdarzona niektóremi prawami dyktatorskiemi. Skutki powstania w roku 1863 znikły zupełnie, żywioł rosyjski wzmocnił się dostatecznie, a zatem niechże Wilno ze stolicy dużego kraju stanie się zwykłem miastem gubernialnem, z urzędami znacznie uszczuplonymi, co oczywiście zuboży miasto, ale to z rosyjskiego punktu widzenia właśnie dobrze. Projekt ten wyszedł z kliki popowiczowskiej i znalazł gorące przyjęcie w jej publicystycznych organach, co też jest zupełnie zrozumiałe, bo gubernatorowie Kowna, Wilna i Grodna pozostają dawni, wybrani i wymusztrowani przez tę klikę, a zatem dający rękojmię, że może ogledniej, ale zawsze będą odznaczali się tak samo, jak kowieński gubernator Klingenberg w Krożach. Gdyby ten projekt przyjęto, to klika Pobiedonoscewa straciłaby wprawdzie posterunek, ale uratowałaby system tępienia, a więc ostatecznie cośby zyskała. — Tak w danej chwili stoi ta sprawa.

Jakiekolwiek będzie jej załatwienie, w każdym razie zaznaczyć trzeba, że fałszywe jest rozumowanie, powtórzone także przez dzienniki wiedeńskie i berlińskie, jakoby urząd jenerał-gubernatorski na Litwie był tak samo prowizoryczny, jak w Charkowie i Odessie, gdzie go ustanowiono za Aleksandra II dla bardziej energicznego tępienia nihilizmu, a zniesiono, gdy tam wróciły stosunki normalne; że zatem projektowane skasowanie na Litwie tego urzędu świadczy o rodzącem się w Petersburgu przekonaniu, iż polskim prowincyom można dać normalne warunki życia. Tak bynajmniej nie jest. Urząd jenerał-gubernatorski na Litwie istniał zawsze od zaboru tego kraju, jak w Finlandyi, albo na Kaukazie i był wyrazem przekonania, że ten kraj przez swe właściwości etnograficzne, obyczajowe i religijne wymaga, aby na jego czele stał dygnitarz z jakąś myślą polityczną, nie zaś zwykły urzędnik, dobry tylko do załatwienia spraw administracyjnych i policyjnych, jakimi są w w Rosyi gubernatorowie. My tedy w owym projekcie nie możemy widzieć żadnej zamierzonej ulgi dla ludności litewskiej, owszem, musimy upatrywać chęć zniesienia nawet nominalnej różnicy, zachodzącej między nim a pierwszą lepszą gubernią czysto-rosyjską.

W parlamencie francuskim zrobili bulanżyści, radykałowie i wywrotowcy awanturę rządowi za to, że zgodził się na udział Francyi w uroczystości otwarcia kanału niemieckiego. Bulanżysta Richard, wpadłszy na trybunę, wołał, że gabinet sprawił Francyi takie upokorzenie, jakiego ona nie doznała od Sedanu, a radykałowie i socyaliści wyli, że gabinet składa się z fagasów niemieckich i że powinien pójść na latarnię. Republikanie odwzajemnłali się tym ichmościom równie delikatnemi przezwiskami, prezydent dzwonił i upominał daremnie, słowem, dla galeryi było widowisko ucieszne i pouczające, jak się można dosadnie łajać.

Trzeba jednak przyznać, że w tej sprawie zawinili wszyscy: republikanie tchórzostwem przed warchołami, a wszelkiego rodzaju borbifaksy — niedorzecznym i szkodliwym szowinizmem. Republikanie, jak rząd, rozumieli, że trzeba przyjąć zaproszenie niemieckie, aby nie było niepotrzebnej demonstracyi uczuć nieprzyjaznych, ale dla ułagodzenia warchołów wymyślili bajkę, że Francya i Rosya po to jedynie wezmą udział w uroczystości otwarcia kanału, aby w obec całej zgromadzonej Europy dobitnie okazać swą zażyłość. Festyny kronsztadzkie i tulońskie były piękne, ale to, co carat i republika miały wrzekomo urządzić w Wilhelmshafenie, byłoby jeszcze piękniejsze. Więc najpierw było jakoby postanowione, że oba te państwa wyszlą jednego typu okręty i jednakową ich liczbę, a pod komendą dowódców równej szarży; te eskadry spotkają się na otwartem morzu, połączą się, razem przybędą na uroczystość, razem, niejako pod rękę, przepłyną kanał i natychmiast obie w jednym kierunku odpłyną, — dokąd? to jeszcze nie postanowione, ale najpewniej do któregoś francuskiego portu. Taka demonstracya, pomijając jej polityczne znaczenie, byłaby grubą impertynencyą źle wychowanego gościa gospodarzowi, więc radykałom francuskim i ich powinowatym nadzwyczajnie się podobała; uznali oni, że na taki udział w uroczystości niemieckiej zgodzić się można i na myśl im nawet nie przyszło, że car nie ma powodu tak się skandalizować. Ale niedługo cieszono się w Paryżu tą bajką. Dowiedziano się tam, że gospodarz będzie gościom rozdawał stanowiska i zastosuje się ściśle do międzynarodowego zwyczaju, który nakazuje uszykować eskadry podług nazw mocarstw w alfabetycznym porządku. Na czele powinna tedy stanąć eskadra niemiecka (Allemagne), ale że ona będzie robiła honory domu, więc stanie na szarym końcu, natomiast pierwszą będzie angielska, drugą austryacka, dalej duńska, po niej północno-amerykańska i hiszpańska, następnie francuska, a tuż za nią, jakby na złość — włoska! (Italie) po której holenderska (Pays-Bas), portugalska i dopiero rosyjska. Gdybyż bodaj Grecya wsunęła się między Francyę a Włochy, ale ona stanowczo wyprosiła się od udziału z braku pieniędzy. Na domiar nieszczęścia, po Rosyi zaraz staną Niemcy. Więc zazdrość i gniew wzburzyły się w paryskich warchołach. Daremnie dla uspokojenia ich wymyśliły republikańskie dzienniki taki frazes: „Szczery patryotyzm nic nie zapomina i nie ma nic wspólnego z patryotyzmem od parady. Patrycyuszowska Francya wcale nie ubliży sobie patrzaniem zbliska na parweniuszowskie Niemcy. Owszem, niech się one jej pokłonią“. Ale warcholstwo paryskie nie dało się złapać na taki frazes i całe swe patrycyuszowstwo ślicznie pokazało w parlamencie, wyrecytowawszy pełny słownik furmański. Ale to wszystko już napróżno, bo cofnąć się od udziału w uroczystości Francya nie może i nawet gabinet Ribota z tego powodu nie upadnie, gdyż republikanie muszą go osłaniać dla uniknienia skandalu, któryby Francyą okrył śmiesznością.

Południowo-amerykańska republika Wenecuela weszła teraz jednocześnie z trzema państwami europejskiemi w zatarg z lekkomyślnością i brawurą, na jakie często pozwalają sobie małe państewka, bo słabość jest ich obronną tarczą. W tej republiczce srożyła się w r. 1882-im rewolucya, nieco krwawsza od zwyczajnych w południowej Ameryce. To jedni, to znów inni byli górą, a jak ci, tak i tamci łupili ze skóry cudzoziemców, jedynych ludzi, z których można było coś wziąć, bo miejscowa ludność nic nie posiada, oprócz dziurawych płaszczy i trzyłokciowych pałaszy. Kiedy nareszcie wrócił ład i rząd się utworzył, przedstawiciele europejskich państw przedstawili mu rachunek strat, poniesionych przez ich obywateli. Rząd karakaski przyrzekł straty pokryć, ale dotrzymać przyrzeczenia wcale nie myślał. Sprawa ta ciągnęła się aż do tej chwili. Nareszcie poseł włoski zażądał swych papierów, wyjechał i rządowi włoskiemu złożył sprawozdanie bardzo niepochlebne dla prezydenta i ministrów wenecuelskich. Ten akt załączono do tak zwanej „zielonej księgi“, przedstawianej zwyczajnie parlamentowi, a dostępnej publicystom nawet wtedy, gdy parlament nie obraduje, jak właśnie jest teraz. Być zresztą może, iż rząd Crispiego umyślnie pozwolił redaktorom poznajomić się z tym aktem, dość, że świat się dowiedział, co poseł włoski myśli o wenecuelskich potentatach. W Karakasie byli tem wszyscy mocno dotknięci i kiedy wyklinali Włochów, nadeszła wiadomość, że posłowie Francyi i Belgii, chociaż zostali na swych posterunkach i z włoskim kolegą wcale się nie porozumiewali, jednak swym rządom złożyli raporty ani trochę nie pochlebniejsze od tego, który się znajduje w rzymskiej zielonej księdze. Więc prezydent wenecuelski, nie namyślając się długo, obu tym posłom zwrócił ich uwierzytelniające listy, co oznacza zerwanie dyplomatycznych stosunków. Juźci, Francya, Włochy i Belgia nie będą wojowały z Wenecuelą i dlatego ona postąpiła tak odważnie.

Korespondencye.

Rzym 3 marca.

Mamy więc post i kazania we wszystkich kościołach i tylko już wspomnienie karnawału, który zresztą nie był tak ożywiony, jak to bywało dawniej. Pamiętają tutaj czasy, kiedy w pałacu książąt Borghese odbywały się wielkie i bardzo świetne przyjęcia; bankier, ks. Torlonia, wydawał ogromne pieniądze na festyny, które zgromadzały cały Rzym, nie wyjmując kolonii cudzoziemców; daleko wtedy huczniej się bawiono i uliczny karnawał przybierał rozmiary jednej wielkiej ogólnej bachanalii, w dobrem tego słowa znaczeniu. Zwalony już teraz stary gmach teatru Apollo, opodal mostu św. Anioła, dawał wyborowe przedstawienia opery... Dziś na pociechę, zostało tylko jeszcze łagodne niebo włoskie.

Wczoraj i dziś przypada rocznica urodzin Ojca świętego i jego wstąpienia na tron papieski. Z tego powodu Leon XIII przyjmował o godzinie jedenastej zrana w dniu wczorajszym powinszowania i życzenia kardynałów. W sali tronowej Watykanu zgromadzili się wszyscy purpuraci, bawiący obecnie w Rzymie, nie wyjmując przybyłych świeżo kardynałów: Vaughana (Westminster), Schoenborna (Praga) i Goessensa (Malines). Papież, siedząc na tronie pod baldachimem, otoczony dworem swoim, wysłuchał krótkiego adresu, czytanego w imieniu całego kardynalskiego kolegium przez dziekana Jego Eminencyę Monaco la Valetta, który po zwykłych życzeniach, przypomniał z radością Ojcu świętemu jego dzieło w sprawie zjednoczenia kościołów wschodnich. Leon XIII, jak wiadomo, poczytuje sprawę połączenia obu kościołów, jako jedną z kapitalnych idei swego panowania i rozmawiając często poufnie z otoczeniem, wyraził już niejednokrotnie żal, iż nie mógł powziąść pierwej w tym względzie inicyatywy, aż ku schyłkowi swego życia, a zatem w wieku, który mu nie dozwoli oglądać dokończonego dzieła i spełnienia się jego życzeń. Dlatego też przemowa kardynała dziekana musiała mu być szczególnie miłą. Uściskawszy go, Leon XIII odpowiedział, dziękując za życzenia i rzekł, iż z przyjemnością przyjmuje przypomnienie swej działalności w sprawie kościołów Oryentu; zapewnił, iż i nadal ze szczególną troskliwością zajmować się będzie tą kwestyą, po której spodziewa się dobrodziejstw także i dla Zachodu. Następnie kardynałowie przystąpili do ucałowania ręki, a o godz. 12-ej, kiedy z zamku św. Anioła, jak codzień, odezwał się wystrzał armatni, przyjęcie było skończone.

Była to niejako prywatna, rodzinna uroczystość w Watykanie. Dziś zaś odbyła się wielka, solenna ceremonia w kaplicy Sykstyńskiej, z powodu siedmnastej rocznicy koronacyi Leona XIII. Od miesiąca natłok próśb o wstęp na tę uroczystość był ogromny; papieskie *maggior-domato*, na którego czele stoi monsignor della Volpe, zasypywany był literalnie podaniami i listami o bilety.

Aczkolwiek sale przyjęć w Watykanie są wielkie, a tylko kaplica Sykstyńska, pomimo wielkich rozmiarów swoich, pomieścić może jedynie 500 osób, zatem część tylko próśb mogła być uwzględniona. Dlatego sekretaryat papieski ustanowił dwa rodzaje biletów: do sal Reggia (Tronowa) i Ducale (prowadzących z apartamentów papieskich do kaplicy Sykstyńskiej), oraz do samej Sykstyńskiej, gdzie się miała odbyć msza. Publiczność, która otrzymała karty wstępu do dwóch przepysznych sal: królewskiej i książęcej, mogła widzieć przechodzący orszak papieski i jego samego, niesionego do kaplicy na *sedia gestatoria*, asystować zaś przy mszy mogli jedynie wybrani, którym udało się przedostać za specyalnymi biletami do kaplicy, przyozdobionej sławnemi freskami Michała Anioła. Ale i w tej, część przeznaczona dla gości, zajmuje zaledwie czwartą część miejsca, którego reszta zachowana jest dla członków dworu papieskiego i ich rodzin, oraz dla kardynałów, ich kapelanów, gwardyi szlacheckiej i szwajcarskiej, arcybiskupów, biskupów i duchownych. Oczywiście wszyscy panowie byli we frakach i białych krawatach, a panie w przepisanym czarnym stroju z koronką na głowie.

Z biletem do kaplicy Sykstyńskiej w ręku zajechałem dzisiaj przed Watykan o godzinie 9ej zrana, choć ceremonia miała się dopiero rozpocząć o 10½. Ale zastałem już na placu Watykanu mnóstwo powozów, a jak mi mówiono, o 8ej zrana cisnęli się już pobożni, aby dostać jak najlepsze miejsca. W kaplicy Sykstyńskiej (nie mówiąc o dwóch poprzednich salach) zastałem już mnóstwo ludzi. Naprzeciwko mnie, w oddziale dla kobiet, dostrzegłem panią Helenę Modrzejewską-Chłapowską, a dalej także i jej męża, bawiących tu od tygodnia. Powoli kaplica zaczyna się zaludniać; trybuny są tak natłoczone, że już o 10ej panuje gorąco i ścisk. Dużo pięknych twarzy włoskich i cudzoziemek, którym czarny koronkowy welon na głowie bardzo jest do twarzy. Nareszcie o godzinie 10¼ przechodzą jenerałowie i oficerowie gwardyi, aby ustanowić porządek, otwierają się wielkie drzwi do *Sala Reggia* i zaczynają defilować szwajcarzy, pary kapelanów kardynalskich otwierających pochód, potem już zdaleka, z Sala Ducale słychać okrzyki, rosną szmery jak fala, zwiastując wejście Ojca świętego do sal recepcyjnych. Wchodzą parami kardynałowie, asystenci tronu w bogatych strojach z XVI wieku, w kryzach i złotych łańcuchach szambelani, wreszcie, za nimi, wnoszą Ojca świętego wśród strusich piòropuszów, na barkach watykańskiej służby.

Okrzyki przyjmują Głowę Kościoła, Leon XIII błogosławi na prawo i lewo; wygląda schorowany i zmęczony; z trudnością podnosi rękę do błogosławieństwa; potrójna tyara, drogiemi kamieniami ozdobiona, przygniata głowę i twarz, której wzrok nie ma już tego życia i ognia, jakim na białej, woskowo-bladej, ale pełnej energii twarzy, czarne włoskie oczy odbijały. Niewątpliwie, ostatnich kilka miesięcy ostrej zimy wpłynęło niekorzystnie na zdrowie Leona XIII-go; przybyło jeszcze zmęczenie ostatnich dni — dlatego twarz Ojca św., którego kilka razy już widziałem, uderzyła mnie zmienionym wyglądem. Ale widok był imponujący: jest to jakby widzenie, jakby nieziemskie zjawisko — ten wielki starzec, co wchodząc w 86 rok życia, zachował tyle siły ducha, że świętością życia, bystrością umysłu, ruchliwością dzieł swoich, jest chlubą Włoch i całego katolickiego Kościoła.

Przed ołtarzem, pod freskiem Ostatecznego Sądu Michała Anioła, Papież schodzi z Sedii, klęka, modli się i siada po lewej stronie kaplicy na tronie. Mszę celebruje kardynał Serafin Vanutelli. Na bocznym chórku kaplicy kapela papieska, pod dowództwem Mustafy, wykonywuje mszę Palestriny. „Hodie Christus natus est“; po „Offertorium“ śpiewają motet, ułożony przez samego maestra Mustafę. Soprany, chóry, koloratura dawnej włoskiej muzyki kościelnej — wszystko to przypominało mi podobne ceremonie, jakie już tutaj widziałem.

Po mszy Papież wsiadł napowrót do Sedii i tym samym porządkiem o godzinie pół do 1 odprowadzony został, błogosławiąc znowu, przez te same sale, wśród okrzyków, do wewnętrznych komnat Watykanu.

Berlin 9 marca.

Rozpoczął się już sezon bismarkowski, o którym pisałem przed paru tygodniami. Osmdziesiąta rocznica urodzin byłego kanclerza przypada wprawdzie dopiero 1 kwietnia, ale już 2 marca odbył się na Friehrichshajnie komers, który był pierwszą manifestacyą publiczną na cześć Bismarka. Wzięli w nim udział najwybitniejsi reprezentanci nowego kursu, a ks. Hohenlohe zabrał nawet głos i pasował Bismarka na swojego przyjaciela, za co otrzymał oklaski, poczem spełnił kufel na cześć młodzieży niemieckiej. Obok Hohenlohego zasiadali wódz konserwatystów Manteuffel i minister Köller. Rektor uniwersytetu wezwał młodzież, ażeby pod magicznym wpływem wielkiego imienia „Bismark“, podała sobie nawzajem ręce. Być może, że obecność wysokich figur wpłynęła cokolwiek na utrzymanie komersu w tonie sztywno-przyzwoitym, ale co do mnie, pozwalam sobie wątpić, czy dalszy przebieg bismarkowskiego sezonu będzie równie pokojowy. Osoba solenizanta nadaje się niedowarzonym umysłom, jak nikt inny, do prowokacyj, których bismarkowcy nie omieszkają skierować na przeciwników b. kanclerza. Ze wszystkich części państwa nadchodzą wiadomości o komitetach bismarkowskich, a prasa berlińska ze szczególnem upodobaniem przytacza telegramy o gotujących się do uroczystego obchodu koloniach niemieckich zagranicą.

A jednak ten Bismark, któremu całe Niemcy złożą gratulacyę, na którego zdrowie tysiące niemieckich burszów wypije milion kufli bawara i napełni wrzaskiem setki różnych komersów — nie jest szczęśliwy! Nasuwa się ważne pytanie: co b. kanclerzowi dolega? Przed kilku tygodniami Bismark, który zwykle gości swych zabawia polityką, dla odmiany zaczął mówić o czem innem, a mianowicie: o szczęściu. Co mówił, nie ze wszystkiem wiadomo, gdyż nie udało się pozyskać tej

„Rzecz o roku 1863“

napisał **Stanisław Koźmian.**

Tom trzeci i ostatni.

Ukazał się tom drugi „Części drugiej“ tego dzieła. O pierwszym mówiliśmy już, przystępujemy do rozbioru drugiego.

Od upadku powstania, upłynęło przeszło 30 lat i sądzić by należało, że się umysły zupełnie uspokoiły i każdy będzie się już zapatrywał okiem bezstronnem na ludzi i wypadki z tamtego czasu. Tymczasem stało się wprost przeciwnie i nie przypominam sobie, aby jakakolwiek praca polityczna wywołała taką szaloną polemikę. Prasa konserwatywna oddaje wszelkie honory dziełu swego zasłużonego i długoletniego współpracownika. Zagraniczna ją podnosi i dużo o niej pisze. Organy liberalne potępiają w czambuł książkę i przytem autorowi nie szczędzą docinków. Zaciekłość pism tych doszła już do tego punktu, że chcąc zmiażdżyć widocznie groźnego przeciwnika, na tomy, odpowiadają tomami recenzyi. Dawni wrogowie podają sobie ręce, a nową przyjaźń pieczętują pocałunkiem braterskim, żeby tylko unicestwić Stanisława Koźmiana i przedstawić go naszemu społeczeństwu w świetle jak najgorszem. Nie jestem bałwochwalczym zwolennikiem wybitnego szermierza partyi konserwatywnej i w wielu punktach z nim się nie zgadzam. Będę się starał być bezstronnym i bez uprzedzeń i uwielbień, zajmę się rozbiorem trzeciego tomu „Rzeczy o roku 1863“.

Zaznaczyć tu jednak jeszcze muszę, że utwór, który stał się przyczyną takich namiętnych sporów, musi posiadać wartość niepoślednią. O błahą sprawę niktby tak zażarcie nie walczył.

Trzeci tom przedstawia stronę dyplomatyczną sprawy w prawdziwem a nie w złudzeń ówczesnych świetle.

Na początku omówioną jest bardzo dokładnie misya świeżo zmarłego ks. Ryszarda Metternicha, ówczesnego ambasadora austryackiego w Paryżu. Wyjechał do Wiednia z polecenia Napoleona III i miał szczere chęci zjednać swój rząd dla planów w sprawie polskiej cesarza Francyi. Spotkał się jednak z uporem i niedowierzaniem. Zresztą Napoleon nie przedstawił konkretnych warunków przymierza i rzecz cała obracała się jeszcze w krainie nieokreślonej. Austrya niby nie odpychała, ale i nie podawała szczerze ręki zwycięzcy z pod Magenta i Solferino. Wraz z Anglią, grała podwójną rolę i jedynem jej celem było — odciągnięcie Napoleona od Rosyi i poróżnienie go raz na zawsze z cesarzem Aleksandrem II. Zamiaru swego dopięła, a ofiarą padła Polska i Napoleon. Co prawda i Austrya wyszła nieszczególnie na tej polityce. Krótkowidzący austryaccy mężowie stanu nie przeczuli i nie odgadnęli, że Austrya zostanie wyrzuconą z Rzeszy niemieckiej, a bitwa pod Sadową ugruntuje potęgę Prus i przyczyni się do złamania Francyi, jedynego naturalnego sprzymierzeńca domu Habsburgów. W całym przebiegu akcyi dyplomatycznej o Polskę rolę przeniewiercy odegrał lord Russel. Chciał poróżnić Francyę z Rosyą i to przy pomocy chwiejności hr. Rechberga, austryackiego ministra spraw zagranicznych, zupełnie mu się udało. Po drugich notach trzech mocarstw w obronie Polski, wystosowanych do Petersburga, zapanowała tam obawa. Chciano się już godzić i kapitulować na całej linii. Mówiono o poważnych ustępstwach, lecz nota hr. Brunowa, rosyjskiego ambasadora w Londynie, donosząca, że Anglia ograniczy się tylko na platonicznem popieraniu sprawy polskiej i nie myśli wcale o czynnej akcyi, odrazu podniosła odwagę ks. Gorczakowa i skutkiem tego odpowiedział hardo i wyzywająco. Policzek wymierzony trzem mocarstwom schowali obrażeni do kieszeni, a cesarz Napoleon został odosobniony bez sprzymierzeńca i bezradny w obec kwestyi polskiej. Wówczas w głowie Napoleona powstała myśl zwołania kongresu, która zakończyła się fatalnem fiaskiem, gdyż oprócz Prus, inne gabinety odpowiedziały odmownie. To był ostatni strzał dany przez Napoleona w sprawie polskiej, który zwrócił się przeciwko niemu i ranił go a w 7 lat później nastąpiła straszna katastrofa: wyrzuciła z Francyi dynastyę Napoleonidów a kraj pogrążyła w nicość.

Według słów Stanisława Koźmiana cesarz Napoleon nie miał żadnego zamiaru popierania powstania polskiego i przez usta ministra Billaulta wygłosił w Izbie deputowanych swoje zapatrywania. Nagle, jak grom, spada wiadomość o zawarciu konwencyi militarnej w dniu 8-go lutego między Prusami i Rosyą. W jednej chwili następuje zwrot na całej linii. Dzienniki francuskie rozczulają się nad losem męczeńskim Polski i wielbią jej bohaterów. Z Tuilerjów wychodzi słowo — *durez* (trwajcie) i to jedno słowo wystarczyło, aby naród polski zentuzyazmować i wysączyć z niego tyle krwi. Partya umiarkowanych nie podziela zapału szowinistów i gdyby się usunęła od udziału, powstanie musiałoby prędko upaść i była jeszcze nadzieja ocalenia instytucyi świeżo powstałych w Królestwie Polskiem.

Niestety! skutkiem zachęty ze strony Napoleona, najrozumniejsi i najrozsądniejsi potracili głowy i rzucili się na oślep w wir wypadków.

Ta część dzieła, traktująca zabiegi dyplomatyczne mocarstw w sprawie polskiej, jest świetnie obrobiona. Spotykamy się z zupełnie nieznanymi szczegółami i rzucającymi jasne światło na przebieg owej niefortunnej akcyi dyplomatycznej. Nie przeczymy, że Napoleon miał jak najszczersze chęci polepszenia stosunków w Polsce. Nie posiadał jednakże siły egzekucyjnej, a sam stał się poprostu igraszką w rękach Austryi i Anglii.

Ciężko odpokutował za tę winę, ale i nas pociągnął w przepaść.

W rozdziale VIII tomu trzeciego spotykamy się z bardzo ciekawym epizodem. Wielopolski, podczas swego pobytu w Petersburgu w 1861 r. miał rzucić myśl, aby rząd rosyjski wszedł w układy z Austryą o odstąpienie Krakowa, jako siedliska ciągłych spisków. Naturalnie miało to nastąpić w drodze polubownej i na mocy kompensaty. Cesarzowi Aleksandrowi II-mu bardzo się ten projekt podobał, ale się i na tem skończyło. O zajęciu Galicyi w r. 1863 nie wspominał Wielopolski, chociaż jest prawdopobnem, że w zamku warszawskim często poruszano tę kwestyę i rozbierano ją akademicznie.

Gdy kongres nie przyszedł do skutku, zniknęła ostatnia nadzieja ratunku dla Polski i wypadki zbliżały się ku końcowi. Powstanie słabło na całej linii i wreszcie ks. Władysław Czartoryski, na wyraźne polecenie cesarza Napoleona, zawiadomił Rząd narodowy depeszą z 24go kwietnia 1864 r., że Polska na pomoc Francyi zupełnie liczyć nie może i cesarz radzi, aby jak najprędzej zakończyć powstanie. Książę Czartoryski przesyłając tę depeszę, podał się zarazem do dymisyi, jako agent dyplomatyczny Rządu narodowego.

Dokument ten ogromnie obciąża Napoleona. Jedno jego słowo wystarczyło do podtrzymania powstania i my Polacy, przez 15 miesięcy byliśmy ciągle łudzeni przez niego. Gdy się wylało morze krwi, tysięcy ludzi padło w boju, zginęło na szubienicach lub zostało wysłanych w lody syberyjskie, wtenczas ów potężny władzca, przed którym zginała kark cała Europa, wypowiada słowa Dantego: *„Lasciate ogni speranza“.*

Ciekawem jest również opisanie zachowania się rządu austryackiego w Galicyi. Od pierwszej chwili odznaczało się chwiejnem po-

mowy *in extenso*, jeden tylko szczegół, ale za to bardzo uderzający, przeszedł do ogólnej wiadomości: ks. Bismark oświadczył, że nie doznał w życiu szczęścia i że od urodzenia miał może 24 godzin takich, które może nazwać szczęśliwemi.

Naturalnie, że ponętny ten motyw pochwycili dziennikarze i zaczęli wyciągać z niego swoje refleksye. Robiono rozmaite przypuszczenia, mniej lub więcej zabawne, ale z najciekawszym domysłem wystąpili przyjaciele Bismarka. Ci przyznali racyę jego pesymistycznemu wyrażeniu, a na uzasadnienie jej przytoczyli to, że parlament usuwa się od złożenia ekskanclerzowi hołdu z okazyi 80-tej rocznicy jego urodzin. Rzeczywiście kilka grup parlamentarnych oświadczyło, że nie weźmie udziału w publicznem powinszowaniu b. kanclerzowi, gdyby je chciał wyrazić prezydujący. Są to: postępowcy, centrum i socyaliści, którzy nawet grozili protestem. W obec tego woła prasa przychylna Bismarkowi, że opozycya ta zatruła mu życie, że istotnie w takich warunkach ekskanclerz nie może być szczęśliwy, ale że go to jeszcze wyżej stawia na piedestału historycznym, gdyż odtąd nie będzie na nim stał wyłącznie tylko jako dobroczyńca swego narodu, lecz i jako ofiara.

Ze spraw specyalnie berlińskich zasługuje przedewszystkiem na uwagę bliski urzeczywistnienia projekt wcielenia okolic przedmiejskich do Berlina. Z chwilą, gdy się to stanie, Berlin rozrośnie się na wszystkie strony w niesłychany sposób i zrobi się podobniejszy do prowincyi, niż do gminy, rządzonej przez zwykły zarząd miejski. Na oko jednak połączenie to Berlina z sąsiedniemi gminami nie wywoła żadnej zmiany, już dziś bowiem gminy te nieznacznie spływają się ze stolicą. Dawno już zniknęły w nich puste przestrzenie, pola zasiane zbożem, ogrody warzywne i sady z podwórzami, stodołami i chatami wieśniaków, tworzące pierścień naokoło Berlina. Morze domów, posuwające się bez ustanku coraz dalej, pochłonęło je w zupełności.

Najnowsza premiera teatru Lessinga stanowi drastyczną ilustracyę sposobu, w jaki się fabrykuje w Berlinie reklamę dla utworów dramatycznych. W dziennikach tutejszych zjawiła się przed kilku tygodniami następująca wzmianka: „Dyrekcyi teatru Lessinga złożył nieznany autor sztukę, noszącą charakterystyczny tytuł „Z Berlina W.“, która do tego stopnia znalazła uznanie p. Oskara Blumenthala, iż nietylko postanowił ją wystawić, lecz natychmiast zajął się osobiście jej uscenizowaniem.“ Wzmianka ta zrobiła swoje. Niebawem z ust do ust podawać sobie zaczęto w sferach teatralnych, że przygotowuje się sensacyjna sztuka w rodzaju „Końca Sodomy“, kompromitująca pewne osobistości z plutokracyi zamieszkującej Berlin W. Równocześnie rozpoczął się zacięty spór o osobę nieznanego autora. Jedni upatrywali autora w jakimś młodym człowieku ze sfer arystokracyi finansowej, inni w zapomnianym już prawie zupełnie Pawle Lindau; jeszcze inni wreszcie przypisywali autorstwo sympatycznej i pięknej, lecz przez szczęście po macoszemu traktowanej autorce pani Oldze Wohlbrück. Blumenthal, dyrektor teatru Lessinga, zacierał tymczasem ręce z radości, liczyć mógł bowiem z pewnością przynajmniej na jeden wyprzedany teatr wobec tak ożywionej agitacyi rozmaitych sfer towarzystwa.

Nadszedł wieczór premiery; sala teatralna była przepełniona widzami, którzy się podzielili na cztery grupy. Jedna wierzyła w autorstwo Lindaua i pragnęła raz jeszcze oklaskiwać swego ulubieńca; druga chciała p. Wohlbrück po całym szeregu niepowodzeń zapewnić sukces; trzecia oczekiwała wielkiej niespodzianki i nie sykała, aby nie odstraszyć wielkiego nieznajomego od ukazania się na scenie i odsłonięcia swego incognita; czwartą wreszcie grupę stanowili przyjaciele rzeczywistego autora, którzy przybyli specyalnie w celu oklaskiwania sztuki. W ten sposób naiwna, pozszywana ze starych i nowych komedyi, melodramatów i krotochwil farsa nagrodzona została hucznymi oklaskami, które, co prawda, słabły coraz bardziej, im więcej się rozszerzać zaczęła pogłoska, że autorem jest prosty aktor z jednego z sąsiednich teatrów i im bardziej się przekonywała publiczność, że tak wiele obiecujący tytuł tak samo stosuje się do treści utworu, jak etykieta „Veuve Cliquot“ do butelki z wodą selcerską. Autor Bruno Kohler, który jest artystą „Deutsches Theater“ i rysownikiem kostyumów, nazwał swoją sztukę „Z Berlina W.“, ponieważ młode małżeństwo przeprowadza się z Berlina W. (zachodniego) do Berlina N. (północnego). Po za tem jestto niesmaczna mięszanina odgrzewanych sytuacyi i konceptów i odgrywaćby się mogła tak samo w Kamerunie lub w Honolulu. Treść przypomina cokolwiek „Poskromienie złośnicy“ i „Właściciela kuźnic“, a polega na tem, że bohater, ubogi technik, zmusza bogatą swą i kapryśną żonę do miłości i posłuszeństwa.

Na influencę, która grasuje tu od dłuższego czasu umarł w tych dniach młody jeszcze profesor uniwersytetu Jerzy Giżycki znany apostoł nowych prądów filozoficznych, założyciel „grupy etyków“, która zarówno w Niemczech jak Austryi zyskała sobie w pewnych kołach zwolenników. Giżycki urodził się w r. 1851 kaleką. To kalectwo zamykając mu drogę do przyjemności życia, równocześnie zwróciło jego umysł na teren naukowych badań. Ideałem Giżyckiego było doprowadzić do stałej harmonii pomiędzy moralnością i postępami wiedzy, nadając tej harmonii podstawę czysto rozumową, niezawisłą od wiary. W r. 1888 berliński zarząd Lessynga rozpisał konkurs na rozprawę, któraby moralność uzasadniała rozumem i nauką. Giżycki napisał dzieło „Die Moralfilosophie“ i otrzymał pierwszą nagrodę. Od chwili utworzenia się „grupy etyków“ był Giżycki redaktorem oficyalnego jej organu pt. *Die etische Cultur*. Pod względem społeczno-politycznym był Giżycki, osobliwie w ostatnich latach, zdecydowanym socyalistą. Przetłómaczeniem na język niemiecki książki Bellamyego o r. 2000 zapewnił jej olbrzymie powodzenie w Niemczech. W gorączkowej pracy, której oddawał się Giżycki, pomagała mu żona, znana emancypantka niemiecka p. Silli Giżycka z domu Kretschman, która w czasopiśmie „Etische Cultur“ prowadziła ożywiony dział o ruchu kobiecym.

Z izby sądowej.

Proces studentów tarnopolskich.

Tarnopol 8 marca.

Świadek Wojciech Małkiewicz dozorca więzień opowiada, że w nocy z dnia 24 na 25 listopada z r. między 10 a 11 godziną zawołał nań oskarżony Bieniecki z okna kaźni i zapytał, czy nie leży na ziemi jaki zeszyt. Świadek w istocie znalazł był zeszyt ołówkiem pisany, który zatrzymał u siebie. W jakie pół godziny potem zawołał na niego po raz wtóry oskarżony Bieniecki i powiedział: „Tam leży piątka, oddaj pan zeszyt“. Podniosłem piątkę, ale powiedziałem, że zeszyt dopiero na drugi dzień oddam. Nazajutrz spytałem p. Bienieckiego przy „spacerce“, czy mu oddać zeszyt i piątkę, na co Bieniecki odrzekł, iż nie wie o żadnej piątce ani o zeszycie. Wówczas oddałem zeszyt i piątkę zawiadowcy więziennemu, a on wręczył je sędziemu śledczemu.

Z kolei przystąpiono do przesłuchania oskarżonego Bałazińskiego, jednak nie w charakterze obwinionego, lecz jako świadka, albowiem Bałaziński nim się dostał na ławę oskarżonych, był w sądzie słuchanym jako świadek. Na odpowiednie pytanie przewodniczącego, Bałaziński oświadcza, iż nie chce o Krzyworączce zeznawać i prosi o uwolnienie go od składania zeznań w myśl paragrafu 153. Na wywody obrony, że Bałaziński nie może być w jednej i tej samej sprawie oskarżonym i świadkiem, odpowiada prokurator, że nie uważa Bałazińskiego jako świadka we właściwem tego słowa znaczeniu, lecz nazywa go tylko tak, bo trybunał wczoraj w ten sam sposób zaznaczył swoje stanowisko co do Bałazińskiego. W skutek tego dr. Dulęba prosi przewodniczącego, aby poinformował oskarżonego, że nie występuje w charakterze świadka, że więc nie ma obowiązków świadka, natomiast prawa oskarżonego, to znaczy, że mu wolno zeznawać, lub też nie, ba nawet, że mu wolno mówić nieprawdę.

Wskutek ponownego oświadczenia Bałazińskiego, że nie chce zeznawać, trybunał udaje się na naradę, która trwała blisko pół godziny. Po naradzie ogłasza przewodniczący uchwałę trybunału, że Bałaziński był wprawdzie pierwotnie słuchanym w śledztwie jako świadek, że jednak obecnie nim nie jest, więc na § 153, tylko świadków dotyczący, powołać się nie może. Gdyby Bałaziński jako obwiniony, nie chciał zeznawać, natenczas uchwalił trybunał odczytać protokoły zeznań jego jako świadka w sprawie obrazu majestatu, zarzuconej kilku współoskarżonym jeszcze w pierwotnem śledztwie.

Przewodniczący ponownie się pyta Bałazińskiego czy będzie zeznawał. Bałaziński odmawia.

Dr. Dulęba zabiera głos: „Dość długo trudnię się praktyką obrońcy, jednak pierwszy raz mi się zdarza, by w jednej i tej samej rozprawie, ktoś równocześnie występował w roli obwinionego i świadka. Sprzeciwiam się odczytaniu zeznań Bałazińskiego, jako świadka, gdyż odczytanie równa się zupełnie przesłuchaniu“.

Po półgodzinnej naradzie trybunał uchwala odczytać zeznania Bałazińskiego.

Po odczytaniu Bałaziński oświadcza, że jako niezgodne z prawdą, cofa je całkowicie.

Z kolei następuje przesłuchanie świadka Edmunda Unolta, seminarzysty, 20 lat liczącego.

Przewodniczący: „Czy nie słyszał pan wyrazów lub nie widział czynów, którymi by się oskarżony Krzyworączka dopuścił się zbrodni obrazy majestatu?“.

Świadek: „Przypominam sobie, że mówił na godzinie śpiewu, że Cesarz pobiera dwadzieścia milionów i t. d., przy tej sposobności mówił także: „Franio“, „Józio“, nie mogę jednak na pewne twierdzić, czy to był Krzyworączka, czy też Bieniecki“.

Przew. A o innym wypadku?

Świadek. Nie pamiętam.

Przew. Czy mówił kiedy „szwab“?

Świadek. Nie przypominam sobie.

Przew. Czy uważał pan kiedy, by się Chabin dopuścił obrazy majestatu?

Świadek. Dwa razy słyszałem, że mówił Franio, Józio.

Dr. Landau. Nim pan byłeś pytanym w śledztwie, czy mówił kto z panem o tej sprawie?

Świadek. Tylko studenci.

Przedpołudniową rozprawę zakończono przesłuchaniem świadka Jana Raby, lat 18, seminarzysty, który między innemi zeznaje, że Rembisz odgrażał się Chabinowi, iż mu „pościele“, a to dlatego, że Chabin przyłapał pewnego razu Rembisza na kradzieży książki.

Szósty dzień rozprawy rozpoczęto przesłuchaniem kilku świadków odwodowych, którzy zeznali na korzyść oskarżonych, i przystąpiono do przesłuchania świadka Leiby Federbuscha, faktora ze Lwowa, mieszkającego przy ulicy Smoczej, u którego oskarżony Zubczewski, podczas swego pobytu we Lwowie przez pewien czas mieszkał.

Przesłuchanie tego świadka wywoływało wśród publiczności ciągłe wybuchy śmiechu. I tak np. uciechę wywołały rozmaite świadectwa, opowiadające o moralności tego świadka. Z nich bowiem dowiedziano się, że Leiba Federbusch odsiedział trzy lata więzienia za współudział w kradzieży, następnie 8 miesięcy za oszustwo, 6 miesięcy za fałszywe świadectwo i 3 miesiące za pokątne pisarstwo. Nadto odczytano jeszcze podanie Lejby Federbuscha do krajowej dyrekcyi Skarbu, w którem ofiarowuje swe usługi na denuncyanta (za wynagrodzeniem) kontrybuentów podatkowych, którzy podają fałszywe fasye. Podanie to załatwiła krajowa Dyrekcya Skarbu, jak się samo przez się rozumie, odmownie.

Federbusch niezaprzysiężony zeznaje, że Zubczewski mieszkał u niego, a później nawet stołował się i że w rozmowie odgrażał się nieraz na księdza Librewskiego, twierdził, że z jego przyczyny wypędzono go ze szkoły, że ksiądz Librewski zamknął mu przyszłość, i że on (Zubczewski) musi go (ks. Librewskiego) sprzątnąć.

Przy konfrontacyi Federbuscha z podsądnym Zubczewskim zaprzeczał Zubczewski, jakoby się wyraził, że śledzi ks. Librewskiego, w celu sprzątnięcia go, lecz że tylko powiedział, iż trzeba się starać o „uprzątnięcie“ jego z posady katechety w seminaryum tarnopolskiem. Świadek pytany w tym kierunku odpowiada: „Być może.“

Z kolei przesłuchano świadków Romanica i Mossora i jeszcze dwóch studentów, którzy co do obrazy majestatu zaprzeczyli zeznaniom świadków dowodowych. Reszta czasu użytą została na odczytanie różnych znalezionych u oskarżonych papierów, jako też aktów oskarżenia z podobnych procesów we Lwowie i Tarnowie a będących w związku z niniejszą sprawą.

KRONIKA.

Lwów 12 marca.

P. Zdzisław Marchwicki został członkiem Rady zawiadowczej Banku dla krajów koronnych (Laenderbanku).

Redaktorem *Warszawskiego Dniewnika* został mianowany p. Timanowski, wiceprezes sądu okręgowego warszawskiego.

Nowy urząd pocztowy. W Rychwałdzie koło Żywca otwarty zostanie 16 bm. urząd pocztowy.

Influenca zaczyna znów grasować w Europie. Panuje w Warszawie, Petersburgu, Wiedniu, w Niemczech i Anglii. Przebieg jej jest łagodny. Najsilniej występuje w Anglii, gdzie nawet z powodu influency musiano zamknąć akademię wojskową w Woolwich. Z Krakowa donoszą nam, iż tam również skonstatowano kilkanaście wypadków influency, lecz przebieg jej był bardzo łagodny.

Olbrzymią defraudacyę, bo wynoszącą przeszło dwa miliony franków, odkryto w Ferrarze. Popełniano ją przez zręczne fałszowanie książeczek pocztowej Kasy Oszczędności. Dotąd wyłapano około półtora tysiąca takich fałszywych książeczek. Przeszło stu urzędników pocztowych aresztowano.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa miejska we Lwowie rozpisała z terminem do 30 kwietnia br. konkurs na posadę kierownika szkoły mięszanej im. św. Zofii i kierownika szkoły męskiej im św. Marcina, a zarazem ogłasza konkurs na dwie posady rzeczywistych nauczycieli. — Wydział powiatowy w Drohobyczu poszukuje dyetaryusza. — Rektorat politechniki lwowskiej ogłasza z terminem do 20 bm. konkurs na posadę asystenta przy katedrze budownictwa.

Fałszerz pieniędzy. Dnia 5 bm. przed ławą sędziów przysięgłych w Stanisławowie stawał Jan Schick, oskarżony o zbrodnię fałszowania monet. Schick trudnił się stolarstwem w Wojniłowie, a jak przesłuchani przy rozprawie świadkowie zeznali, posiadał niepospolitą zręczność nietylko w swojem rzemiośle, ale także w sprawach w zakres innych rzemiosł wchodzących. W styczniu br. pojawiło się w Wojniłowie kilka fałszywych 20-groszówek a dochodzenia prowadzone przez naczelnika gminy i żandarmeryę, wykryły jako sprawcę Jana Schika, który przyznał się do winy. W obiegu przyłapano 6 takich fałszywych monet i Schick obstawał przy tem, że tylko 6 takich falsyfikatów sporządził. Przysięgli potwierdzili pytanie postawione im w kierunku fałszowania monet, a trybunał skazał Schicka na 8 miesięcy ciężkiego więzienia.

Morderstwo popełniono wczoraj we Lwowie przy ulicy Podlewskiego l. 10. W domu tym mieszkała 26-letnia praczka Marya Wajdówna, w której kochał się Paweł Strzelecki, lokaj hr. Stanisława Dzieduszyckiego. Wajdówna mimo gorącego afektu, jakim Strzelecki płonął ku niej i mimo licznych prezentów składanych jej przez kochanka, nie odpłacała mu wzajemnością, lecz pozostała wierna swemu narzeczonemu Szpaczyńskiemu, który odbywał trzyletnią służbę wojskową w Wiedniu. Wczoraj wrócił Szpaczyński z Wiednia, a Wajdówna oświadczyła Strzeleckiemu, że ślub jej ze Szpaczyńskim odbędzie się wkrótce. Strzelecki zrozpaczony tą stanowczą rozmową pobiegł do domu swego pana, porwał jego strzelbę i przybiegłszy do mieszkania Wajdówny strzelił do niej z tyłu w plecy w chwili, gdy ona układała bieliznę. Strzeliwszy, rzucił strzelbę i udał się wprost na policyę, donosząc o popełnionej przez siebie zbrodni. Zawezwano natychmiast pogotowie ratunkowe, które skonstatować mogło tylko śmierć Wajdównej. Zbrodniarza zatrzymano w więzieniu. Przesłuchiwany twierdził, że popełnił morderstwo „z rozpaczy i wielkiej miłości“, a nadto przyznał się do tego, że prezenta, które robił Wajdównej (pierścionki, kolczyki, łyżki srebrne itd.) pochodziły z kradzieży, popełnianych przez niego u swych służbodawców p. Blumenfelda i hr. Dzieduszyckiego. Morderca jest blondynem, średniego wzrostu, o niemiłej powierzchowności.

Odkrycie naukowe. Profesor Napoleon Cybulski, profesor fizyologii w uniwersytecie Jagiellońskim, od dawna już zajmował się badaniem nadnerczy i na podstawie długich doświadczeń odkrył, jakie funkcye przyroda dała im do spełnienia. Dotąd uczeni fizyologowie nie wiedzieli na co nadnercza te są przeznaczone. O odkryciu tem zdawał profesor Cybulski sprawę w Akademii Umiejętności i na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego w Krakowie. Odkrycie to należy do najpiękniejszych zdobyczy naukowych i niewątpliwie sprowadzi przewrót w zapatrywaniach fizyologów na ten niepozorny organ, jak nie mniej na wiele ważnych czynności ustroju ludzkiego i zwierzęcego.

W Kijowie występował z koncertem Śliwiński. Koncert wywołał ogromny entuzyazm. Siedm razy domagano się powtarzania już wykonanych numerów, aż w końcu zapał doszedł do tego stopnia, że publiczność porwała artystę na ręce i obniosła dokoła sali. Po skończonym koncercie odprowadzono Śliwińskiego do powozu, gdzie jeszcze raz zrobiono mu gorącą owacyę, zapraszając, ażeby znowu odwiedził Kijów.

Lwowski klub szachistów. Turniej mistrzowski tegoż klubu rozpocznie się w niedzielę 17-go marca 1895. Wkładki od członków po 3 złr., od niećzłonków po 5 złr. Nagrody: pierwsza suma wkładek, druga 20 koron, trzecia (ewentualna) szachownica i szachy albo jakieś dzieło szachowe. Wpisy kończą się w niedzielę 17 marca o godzinie 5 wieczorem, poczem nastąpi losowanie, w jakim porządku uczestnicy turnieju ze sobą grać mają. Ogłoszenie wyniku i rozdział nagród nastąpią 1 maja.

Stosownie do ustanowionego programu rozpoczął klub dwie partye korespondencyjne z krakowskim klubem szachistów, ponieważ w Warszawie dotąd klubu nie ma, więc na razie rozgrywa z ramienia lwowskiego klubu dr. Kohn dwie partye korespondencyjne z p. Kleczyńskim, redaktorem rubryki szachowej w „Tygodniku ilustrowanym“. Stan partyi z klubem krakowskim jest obecnie następujący:

I. Partya hiszpańska. Białe-Lwów. 1. e 2 — e 4. 2. S g 1 — f 3. 3. L f 1 — b 5. 4. d 2 — d 3. 5. c 2 — c 3. 6. O — O. 7. d 3 — d 4. 8. L c 1 — g 5. Czarne - Kraków. 1. e 7 — e 5 2. S b 8 — c 6. 3. S g 8 — f 6. 4. L f 8 — c 5. 5. D d 8 — e 7. 6. O — O. 7. L c 5 — b 6.

II. Gambit środkowy. Białe-Kraków. 1 e 2 — e 4. 2. d 2 — d4. 3. L f 1 — c 4. 4. c 2 — c 3. 5. b 2 — c 3: 6. D d 1 — b 3 (?). 6. S g 1 — f 3. Czarne - Lwów. 1. e 7 — e 5. 2. e 5 — d 4: 3. L f 8 — b 4 (szach) 4. d 4 — c 3: 5. D d 8 — f 6. 6. L b 4 — c 5. 7. d 7 d 6.

Lichwiarz przed sądem. W Stanisławowie toczyła się w tych dniach rozprawa karna przeciw Chaimowi Hochmanowi, szewcowi osiadłemu w Petrance, wiosce w powiecie kałuskim położonej, który zarzuciwszy rzemiosło swoje, wybrał sobie zawód rolnika, trudniąc się obok tego lichwą i zakupnem gruntów włościańskich w taki sposób, że kupując kilka parcel u włościan rozmyślnie w zawartym kontrakcie pomijał zastrzeżone przez sprzedawców prawo odkupu, a także, kupując pół parceli, wpisywał w kontrakt sprzedaży całe parcele jako kupione, których to czynów dopuścił się w sześciu wypadkach, narażając sprzedawców na niebezpieczeństwo dotkliwej szkody, a oprócz tego popełnił w 4 wypadkach lichwę na włościanach miejscowych w sposób nader rażący i włościan majątkowo rujnujący. Ława przysięgłych zatwierdziła wszystkie pytania tak co do oszustw, jak i lichwy postawione, a trybunał wymierzył Hochmanowi karę trzech lat ciężkiego więzienia i skazał go na zapłacenie odszkodowania pokrzywdzonym. Hochman, będąc na wolnej stopie, zaraz po rozprawie przygotowywał się do ucieczki. Żandarmerya przytrzymała go i odstawiła do sądu obwodowego dnia 6 b. m., ale udało mu się tego samego dnia po przystawieniu uciec.

Siła owadów. Francuski zoolog Plateau próbował siłę owadów, zaprzęgając je do malutkich wózeczków. Robiąc te doświadczenia przekonał się, że najmniejsze owady są najsilniejsze. Według obliczeń jego, chrabąszcz stosunkowo do swej wielkości może pociągnąć ciężar 21 razy większy, niż uciągnie najsilniejszy koń, pszczoła zaś ciężar 30 razy większy. Jedna pszczoła z łatwością wiezie na maleńkim wózku 20 pszczół.

Jak zdumiewającą siłę muskułów posiadają pszczoły, dowodem tego jest to, że np. kilka pszczół, uczepionych u gałęzi, utrzymuje nieraz cały rój złożony z kilkuset pszczół. Ten fakt, że kilka pszczół trzyma cały rój, jest zapewne przyczyną, iż roje uciekają z pasiek, jeżeli rychło nie zostaną zdjęte. Gdy bowiem długo rój taki wisi, pszczoły trzymające go tracą siłę, a wówczas rój, odczepiwszy się od gałęzi, szuka dla siebie gdzieindziej miejsca.

Raut. Ciszę, która zapanowała po tak mało ożywionym karnawale, przerwie świetnie się zapowiadający raut „Pracy kobiet“. Kierownictwo rautu spoczywa w rękach pani Marchwickiej, a program rautu sprawi, że jego uczestnicy bawiąc się doskonale, zaliczą ten wieczór do najmilej spędzonych. Komitet pań, który wczoraj odbył swe ostatnie posiedzenie, przygotował liczne niespodzianki, których jeszcze zdradzić nie możemy. Niepodobna jednak nie wspomnieć, że great atraction stanowić będzie liczne grono najpiękniejszych pań naszego towarzystwa, które w równie pięknych jak oryginalnych kostyumach spełniać będą obowiązki gospodyń.

Kostyumy pań zastosowane będą do ich ról jako gospodyń, tak n. p. herbatę poda nam urocza Japonka, owoce Greczynka z okolic Koryntu, wino Alzatki i francuskie damy rococo — zwolennikom Gambrinusa monachijska mieszczka szlachetny Spatenbräu nalewać będzie — każdy kraj niemal swoich przedstawicieli nam użyczy do ról Heby.

Przyszłość przepowiadać ciekawym jej ma wieszczka cygańska a kabała z pięknych rączek spełni się niewątpliwie, bo wszakże wiadomo, że *ce que femme veut..*

W fumoirze rządzić będzie księżniczka z dalekiego Wschodu, rozdając hołdującym jej w darze papierosy i cygara.

To tylko cząstka z programu zabawy, resztę komitet przedwcześnie nie chce pozbawiać uroku tajemnicy. Dodać jednak jeszcze musimy, że na raucie nie będzie t. zw. carotte'y, gdyż herbatę, ciasta, owoce i t. d. piękne gosposie rozdawać będą bezpłatnie.

Ze Stanisławowa piszą nam: Chociaż we wszystkich urzędach w Galicyi językiem urzędowym jest język polski, to jednak zakłady karne we Lwowie, w Stanisławowie i w Wiśniczu stanowią pod tym względem wyjątek, gdyż językiem urzędowym całej służby wewnętrznej jest po dziś dzień język niemiecki. Wskutek tego, gdy jaka posada zostanie opróżnioną, władze wyższe mianują urzędników nieumiejących ani słowa po polsku z innych prowincyi Austryi. Niedawno miało to miejsce przy nominacyi dyrektora w Wiśniczu. Trzeba zaś wiedzieć, że ogólny status tych urzędników w Galicyi wynosi 13 i tylko śmierć lub pensyonowanie po czterdziestu latach służby otwiera drogę do awansu; łatwo zatem zrozumieć, jaką stratę ponoszą oni przez taką nominacyę urzędników z innych prowincyi monarchii. Może który z panów posłów po przeczytaniu tych kilku słów zechce ująć się za ową nieszczęsną „trzynastką“.

Zmarli. Stanisław Jaksa Bykowski, właściciel dóbr ziemskich, porucznik gwardyi narodowej w r. 1848, b. prezes zaleszczyckiej Rady powiatowej, zmarł w Stanisławowie w 80 r. życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano —2° R. w poł. + 2° R. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda. Ostry wiatr wschodni.

W menażeryi.

Gapski ze swoją narzeczoną ogląda menażeryę.

— Z całej menażeryi — rzecze panna — najwięcej mi się podoba ta maleńka małpeczka. A panu?

— Mnie? — woła z zapałem Gapski — pani, panno Maryo...

Myśli.

Tylko pesymiści chwalą się gruntowną znajomością natury ludzkiej.

Teatr. Dziś we wtorek „Aida“, wielka opera w 5 aktach Verdi'ego. We środę „Łapownicy“, komedya w 5 aktach A. Ostrowskiego. We czwartek „Bal maskowy“, wielka opera w 5 aktach Verdi'ego.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Wczoraj przedstawiono w teatrze skarbkowskim po raz pierwszy komedyę rosyjskiego pisarza A. Ostrowskiego pt. „Łapownicy“. Sztuka ta, będąca głęboką satyrą stosunków rosyjskich, podobała się bardzo licznie zebranej publiczności. Obszerne sprawozdanie o tej sztuce podamy w jutrzejszym numerze.

* **„Dusze w odlocie“.** Maryan Gawalewicz. Z pamiętników młodego lekarza. Nowela z ilustracyami E. Lindemana. (Warszawa u Gebethnera i Wolffa, 1895).

Zawód lekarski wiele ma w sobie pokrewieństwa z kapłaństwem. Ileż to bowiem razy przychodzi temu, który ratuje gasnące ciało, krzepić także i „duszę w odlocie!“ Ksiądz i lekarz są często świadkami wielkich dramatów rozgrywających się w piersi walczących ze śmiercią i nietylko są świadkami, ale i współaktorami, wpływającymi pośrednio lub bezpośrednio na bieg i rozwiązanie akcyi, rozdzierającej i im samym serce. Obydwom należy posiadać niemal jednaką miłość niedoli, obydwóch powinnością wytężyć wszelkie starania, aby złagodzić jej gorycz i tylko o ile w ten sposób pojmą posłannictwo przy łożu chorego, o tyle staną na wyżynach swego powołania. Że ten temat mógł porwać pisarza, który

---

stępowaniem. W Wiedniu walczyły ze sobą dwa prądy: francuski i pruski, a który z nich brał górę, odbijało się to na Galicyi. Ówczesny namiestnik hr. Mensdorf-Pouilly, raz odbierał rozkazy surowego postępowania, drugi raz, aby się zachował ostrożnie i wyczekująco, gdyż niewiadomo jeszcze jakie Austrya zajmie stanowisko, wobec wypadków w Polsce. Nareszcie przemógł wpływ pruski i misya jenerała Manteuffla, wysłanego przez króla Wilhelma, została uwieńczona najpomyślniejszym skutkiem. Austrya dała się uwikłać w sieci Bismarka i przystąpiła do wspólnej interwencyi w księstwach nadelbiańskich. W ślad za tem poszło ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi i represya, mająca na celu zgniecenie wszelkiego ruchu. Autor przytacza nieznaną dotąd korespondencyę między Ministeryum a Namiestnictwem.

Skutki powstania okazały się najfatalniejsze dla Królestwa polskiego, Litwy i prowincyi zabranych. Według Koźmiana, Rosya miała szczery zamiar i jak najlepsze chęci rozszerzenia instytucyi w myśl programu Wielopolskiego. Nie chciała ona wywołać katastrofy, bo to utrudniałoby tylko jej politykę i stanowisko światowe. Zresztą w czasie demonstracyi warszawskich przymierze Rosyi z Francyą było na porządku dziennym, którego zwolennikiem był cesarz Aleksander II i jego minister ks. Gorczaków. Poparcie dane powstaniu przez Napoleona rozwiało nad Newą wszelkie sympatye francuskie, a co się dalej stało?

Gdyby cesarz Napoleon, od pierwszej chwili nakreślił plan działania i nie przerzucał się z jednej ostateczności w drugą, zamysły jego może zostałyby uwieńczone skutkiem pomyślnym. Bacznie się jednak przyglądając jego działaniu musimy przyznać, iż w głowie miał chaos i rwał się naprzód, nie wiedząc, czy znajdzie poparcie innych. Ekspedycya meksykańska wiązała mu ręce w Europie i wreszcie rzeczy tak poprowadził, iż znalazł się w obec koalicyi całej prawie Europy i musiał kapitulować. Cała jego akcya w sprawie polskiej dowiodła, że stracił dawniejszy geniusz i władze jego intelektualne znacznie osłabły. Drouyn-de-Lhuys, Mocquard, Walewski, najbliżsi jego doradzcy powtarzali ciągle ks. Czartoryskiemu: „popierajcie, trwajcie, przedłużajcie“. Walewski dodawał jeszcze: „granice przyszłej Polski nakreśli krew powstańca“. Cesarz naturalnie był więcej wstrzemięźliwym, ale uznawał, że trwanie powstania jest niezbędnem. Z usposobienia był marzycielem, a marzycielstwo z polityką źle idzie w parze. Takie są poglądy Koźmiana na osobę Napoleona i przyznać trzeba — arcysłuszne.

Rozdział X traktuje o odpowiedzialności i zaczyna się od słów: „Wszyscy zawinili“. I tutaj także musimy uderzyć się w piersi i powiedzieć, że żaden z nas nie pozostał bez winy. Czerwoni i biali, zachowawcy i postępowcy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, w ogóle całe społeczeństwo polskie uległo obłędowi i porwało się do walki z gołemi rękami. Zapał szalony, poświęcenie bezgraniczne, nawet bohaterstwo przerastające zwykłą miarę, wszystko to jednak przyczyniło się tylko do zwiększenia katastrofy oraz zupełnego zniszczenia kraju. Wierzono w odbudowanie Polski w granicach z 1772 r. Zapomniano jednak, iż musiałby nastąpić częściowy rozbiór trzech potężnych mocarstw, a to nie mogło się obyć bez obcej pomocy. Pomoc ta była oparta na bardzo kruchej podstawie i nigdy się nie mogła urzeczywistnić. Koźmian utrzymuje, że spisek był niepotrzebnym do wywołania obcej pomocy i był bezmyślnym. Przyznajemy mu słuszność, iż nie był na czasie, kraj, który nieraz spał snem letargicznym, bezpotrzebnie się obudził do klęski.

Koźmian i w tym tomie nie spuszcza z oka czynności Rządu narodowego. Potępia teroryzm Chmielińskiego i podnosi zasługi Trauguta. Poskromił on żywioły demagogiczne i kazał burzliwszym wyjechać za granicę. Sprawował rządy do końca i zginął bohatersko na szubienicy.

Kilkanaście ustępów poświęconych jest „gronu krakowskiemu“, które się zawiązało w czasie powstania w Krakowie. W skład takowego wchodzili: Koźmian, Stanisław Tarnowski, Ludwik Wodzicki. Później przystąpił do niego Józef Szujski i kilku innych. Pierwotnem jego zadaniem było popieranie powstania, a po jego upadku, przemieniło się w stronnictwo polityczne, które dotąd odgrywa przeważną rolę. Nie będziemy tutaj przytaczali wywodów Koźmiana *pro domo sua* o „Tece Stańczyka“ i powstaniu „Przeglądu polskiego“, ale temu stronnictwu musimy przyznać wiele zalet. Przedewszystkiem wie, czego chce i do czego dąży? Nie bawi się w budowanie zamków na lodzie, nie bije w głośny bęben szowinizmu patryotycznego, lecz działając rozważnie, wywalczyło dzisiejsze stanowisko Galicyi. Na rozgorączkowanych leje zimną wodę, gdyż mimo tylu ciężkich klęsk i strasznych katastrof, jakie przeszedł biedny nasz naród, chłodny tusz ciągle jest potrzebny, bo my gotowi zawsze być niepoprawnymi.

Założenie szkoły stańczykowskiej, jak Koźmian utrzymuje, było jedynem możliwem nie zmazaniem, ale odkupieniem win jej twórców w 1863. Szkoła stańczykowska sprawiła bowiem i sprawić może w przyszłości, iż po raz pierwszy nauka nie pozostanie bezskuteczną.

Dzieło swoje autor kończy słowami: „Tam gdzie wszyscy zawinili, wszyscy powołani są do — naprawy“.

Tak jest. Wszyscy powinniśmy być powołani do naprawy i starać się wszelkiemi siłami do podniesienia bytu narodowego kraju, rozszerzenia oświaty i podtrzymania zamożności na drodze legalnej i to tak dobrze w Galicyi jak we wszystkich polskich dzielnicach. Początek jest już zrobiony i w przeciągu ostatnich 25 lat widocznym jest znaczny postęp. Wiele nam jeszcze nie dostaje, ale przy pracy i energii, powinniśmy osiągnąć cel zamierzony. Książka Koźmiana jest prawdziwą księgą mądrości. Bezlitośnie otwiera rany i kraje je skalpelem anatomicznym. Nie obwija nic w bawełnę i bryzga w oczy prawdy nieprzyjemne. Potępia on sam siebie; nie zna miłosierdzia dla twórców powstania i tych, którzy je popierali, chociaż ci ludzie działali z przekonania i dla Ojczyzny szli na szubienicę. Każdy z tego dzieła powinien czerpać naukę, jak zgubnymi są wszelkie porywy, nie oparte na podstawach politycznych i do czego prowadzą marzenia poetyczne?

Koźmian pisząc swoją książkę, miał na celu obznajomienie szerszego ogółu z głównemi przyczynami klęski. Bez złudzeń, bez poezyi, bez przekręcania faktów historycznych opisał to, czego sam był świadkiem, lub na co posiadał dokumenty autentyczne. Jeżeli spotkał się z uznaniem ludzi trzeźwiej patrzących, to z drugiej strony posypał się na niego grad pocisków z przeciwnego obozu.

Tak jednak zawsze działo się na świecie i tak się dziać będzie. Nie tylko fałsz ale i prawda spotyka się z przeczeniem. Prawdą zaś jest konkluzya książki — iż chociaż przestało się być państwem, trzeba chcieć i umieć pozostać — narodem.

Ka..tan.

ostatniemi szczególnie czasy tak szybkim krokiem bieży ku szczytom Parnasu, nie dziwimy się zgoła, po przeczytaniu zaś „Dusz w odlocie“ uczuwamy szczere zadowolnienie, gdyż autor „Mechesów“ i „Od jutra“ przekonał nas, że talent jego nietylko spotężniał, ale i pogłębił się, że Gawalewicz jest zarówno bystrym obserwatorem, jak i subtelnym psychologiem, że twórczość jego wyzwala się coraz więcej z pęt pięknej formy, a maluje życie społeczne i duchowe w jego żywych i prawdziwych przejawach.

Na „Dusze w odlocie“ składają się kartki z pamiętnika młodego lekarza. Po długich walkach i gorzkiem borykaniu się z niedostatkiem, opuścił on wreszcie ławę uniwersytecką i rozpoczął t. zw. praktykę. Los zrządził, że w tym samym domu, w którym zamieszkał, znalazł trzech pierwszych pacyentów. Dziwna to i charakterystyczna trójca cierpienia. Józio Szlarkiewicz, 14-letnie chłopię, jedyny syn wdowy po ociemniałym grajku, która dniem i nocą z igłą w ręku pracuje na marne utrzymanie i opłatę konserwatoryum, gdyż Józio po ojcu odziedziczył talent muzyczny. Bieda podkopała i tak wątłe siły chłopięcia, cóż więc dziwnego, że pierwszego lepszego dnia mroźnej zimy, wrócił z kłóciem w piersiach i teraz walczy ze zjadliwą pneumonią. Minię Lewańską przypomina sobie młody lekarz jeszcze z jednego z koncertów studenckich, na którym śliczny swój głosik niosła w ofierze na rzecz uczącej się młodzieży. Dziś suchoty trawią biedaczkę i lada chwila przetną nić kruchego żywota, a nieszczęsnego ojca pozbawią jedynego skarbu na ziemi. Trzecim pacyentem jest p. Gierda, któremu, jak to mówią, przez całe życie wiatr dął w oczy. Obecnie zgorzkniały, osamotniony, dogorywa pod opieką wiernej służącej, starej Banasiowej. Stan psychiczny każdej z trzech dusz w odlocie, wyrzeźbił autor tak misternie, ich niedole różne co do okoliczności, a jednakie w cierpieniu, przedstawił z taką plastyką i prawdą, że są to nie tylko sylwetki skońc one, ale postacie żywe, które łzę współczucia wyciskają z naszych oczu. Młody lekarz staje się między swymi pacyentami żywym łącznikiem, a także i duchową dźwignią.

Dzięki jego szlachetnemu sercu matka Józia nie poddaje się rozpaczy, stary Lewański z rezygnacyą patrzy na zbliżający się cios, a Gierda, pojednany z Bogiem i ludźmi, umiera śmiercią sprawiedliwego, oddawszy skromny swój kapitalik na wychowanie Józia, którego lekarz zdołał wyrwać ze szpon śmierci. Przed wdową i chłopięciem otwiera przyszłość wrota do lepszej doli, a Minia patrzy z utęsknieniem w zamarzłe szyby okna, czy nie przedrze się promień wesołego słonka, który z wiosną i jej zdrowie przyniesie. Tymczasem posyła staremu Gierdzie, którego śmierć przed nią tają, codziennie doniczkę świeżych hiacyntów, utyskując, że biedny starzec nie długo już cieszyć się będzie niemi na ziemi.

Dorywczo opowiedziana treść nie pozwala widzieć wszystkich pięknych stron „Dusz w odlocie“, które śmiało zaliczamy do najlepszych utworów, jakie wyszły z pod pióra utalentowanego autora. Nie można p. Gawalewiczowi zarzucić, że całą nowelkę utrzymał jakby w tonie minorowym; bo ton ten dostraja się zupełnie do osób i sytuacyi i tak głęboko jest szczery, iż rzewnem echem tętni w duszy czytelnika.

Firma wydawnicza ujęła „Dusze w odlocie“ w śliczną oprawę, znaną i rozpowszechnioną obecnie w Paryżu pod nazwą „Collection Guillaume“. Artystycznie wykonane ilustracye E. Lindemana zastosowane zostały do treści.

* **Le Vatican.** „Les Papes et la civilisation, le gouvernement central de l'Eglise“, par Georges Goyau, André Pératé et Paul Fabre. (Firmin Didot. Paris, 1895.) — Oto jedno niezaprzeczenie z najlepszych dzieł tego rodzaju, jakie się ostatnimi czasy pojawiły. Łączy ono w sobie wielkie bogactwo treści z prawdziwym artyzmem wykonania licznych rycin. Autorami są trzej członkowie francuskiego „L'école de Rome“. Wstęp wyszedł z pod pióra kardynała Bourreta, epilog zaś hr. de Vôgüé. „Jestto“ pisze kardynał Bourret „uczone studyum i doskonała synteza Kościoła i Papiestwa i onego potężnego wpływu, jaki oboje wywarły nietylko na chrześcijanizm, ale i na cały świat aż do naszych czasów. Cała książka obejmuje jednocześnie historyę, filozofię, sztukę i literaturę. Mało znam prac, któreby z większą dokładnością i znajomością przedmiotu, z duchem bardziej podniosłym oddały wielką ideę chrześcijańską oraz przeistoczenia, jakie ona spowodowała.“ Pierwszą i drugą część dzieła opracował p. Goyau. W pierwszej, zatytułowanej: „Vue générale de l'histoire de la Papauté“, daje świetny obraz Papiestwa, począwszy od św. Piotra, aż do Leona XIII. Pan Goyau mniej wchodzi w szczegóły biograficzne, natomiast z pod jego pióra wychodzą skończone postacie Papieży w oświetleniu ich działalności, wpływu i geniuszu. Druga część: „Le gouvernement central de l'Eglise“ dotyczy św. kolegium, konsystorzy, konklaw, kongregacyi itd. Autor nie pomija przytem najdrobniejszej gałązki potężnego drzewa administracyi kościelnej. Część trzecią: „Les Papes et les arts“ opracował p. André Pératé. Widzimy tutaj Papieży jako władców w charakterze mecenasów sztuki i literatury. Autor opisuje Rzym średniowieczny z jego arcydziełami, których twórcy stali pod ojcowską opieką Papieży; wiedzie następnie czytelnika przez wspaniałe sale Watykanu, bazylikę św. Piotra, muzea, biblioteki, a nawet wprowadza do otwartych dla badań naukowych dzięki Leonowi XIII archiwów watykańskich. Część artystyczna, składająca się z wybornych reprodukcyi licznych portretów i w ogóle około 500 ilustracyi, wykonanych wspaniale, jest zasługą p. Fabre'a. W epilogu hr. de Vôgüé kreśli przepiękną apologię owej Boskiej instytucyi, która pomimo przeciwności wiekowych, wśród wstrząśnień i rewolucyi, zachowała swoją nieśmiertelną młodość, swój majestat, swój wreszcie urok i wpływ jako mistrzyni dziejów cywilizacyi. Pożądanem byłoby, żeby to piękne i wspaniałe dzieło znalazło polskiego tłumacza i nakładcę.

* **Archiwum** do dziejów literatury i oświaty w Polsce, wydawane przez komisyę do badań tego zakresu przez Wydział filologiczny akademii umiejętności w Krakowie powołaną. Tom VIII. W Krakowie skład główny w księgarni spółki wydawniczej polskiej 1895. W tomie tym znajdują się: dr. Jultecka „Materyały do biografii Józefa Bartłomieja Zimorowicza (Ozimka)“. dr. Jana Czubka „Wacław z Potolik Potocki“. Nowe szczegóły do żywota poety“ i B. Wojciechowskiego, „Fragment z dziejów szkół kaliskich z rękopisu współczesnego“. Tom rozpoczyna praca, którą wymieniamy na końcu, chcąc o niej parę słów powiedzieć. Jest to bowiem rzecz, która ze wszystkich pomieszczonych w tym tomie z pewnością najżywiej zainteresuje nasz ogół, mianowicie przez p. Stanisława Windakiewicza wydane „Akta Rzeczypospolitej Babińskiej według oryginalnego rękopisu“. Pozostałe do dziś z tradycyi przysłowie, które dla oznaczenia kogoś osławionego pod jakimkolwiek względem, powiada, że mówią o nim „Gdzie Krym, gdzie Rzym, gdzie karczmy Babińskie“, dowodzi jak silnie zrosłem było z dawnem społeczeństwem polskiem to humorystyczne stowarzyszenie, stworzone w lubelskiem przez Imci pana Pszonkę i jak się oglądano na opinię tych, co w „karczmach Babińskich“ sypali ostrą a ciętą satyrą. Akta te wydane pomogą niewątpliwie, wedle słów autora, „zrozumieć powstanie i racyę bytu wesołego towarzystwa, które poczęło się jakby z niczego i przez sto lat miało taką siłę przyciągającą dla całego gminu szlacheckiego“. Znaczną część wydanych aktów stanowią „Zapiski babińskie“ którym p. Windakiewicz przypisuje wielką rolę w rozwoju nowelistyki polskiej, nazywając je wprost „nowelkami babińskiemi“. Mimo całą rubaszność i niezwykłe już dla nas pojmowanie rzeczy, te anegdoty, ucinki, wiersze i opowiadania, pełne niewymuszonego humoru, kończące się mianowaniem dygnitarzy babińskich, mają dla nas urok jakby jakiegoś starożytnego i w swej pleśni pociągającego brązu.

Na chybił trafił dla zaznajomienia czytelników ze stylem i sposobem opowiadania owych zapisków, przytaczamy z zachowaniem pisowni jedną z licznych tam przygód myśliwskich, przypominających słynne opowieści Münchhausera.

„20 Decembris 1640 anno. Wielmozny Jego Mosc Pan Piotr Szysskowski, kasztelan woynicki, marssałek trybunału koronnego, odjezdzającz trybunału, przy bytnosci sieła vrzenników babińskich, tu w Babinie bywszy, powiedział iss u Jego Mości w majętnościach kacki na jeziorach tak łowią. Naprzod ponętę pewną onym daią, potem za ponętą taką w pęcherz grochu włozywsy, to w wodę pusczaią, za tym osobę łysą, y kaski miasto grochu łysego w głowę zobiąc, wszystkie wyławiają się przez onę osobę łysą. Zaco Jego Mosc zostaje łowczym generalnym babinskiem“.

* **Niebo**, przez Kamila Flammariona, przekład z francuskiego dra M. Stefanowskiej. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1895.

Któż nie zna tego astronoma-poety? Nie dawno jego powieść „Urania“ obiegła wszystkie kraje, budząc zainteresowanie nie tyle artyzmem w przedstawieniu postaci lub astronomią, jak raczej pewnemi spirytystycznemi i telepatycznemi hipotezami i przykładami, co prawda nieraz wcale poetycznie przedstawionemi. „Niebo“ jestto natomiast właściwa astronomia, przedstawiona popularnie, a pewien poetyczny polot i obrazowość stylu czynią tylko lekturę dziełka przyjemniejszą. Weźmy przykład. W końcu książki autor pociąga czytelnika w przestrzeń pomiędzy gwiazdy. „Zgubiliśmy“ pisze „nasz system słoneczny oddawna. Jesteśmy teraz wśród gwiazd. Rzućmy się z szybkością światła (które przebiega 300.000 km na sekundę) w jakimkolwiek kierunku przestrzeni, i nie zatrzymując się ani na chwilę, przelećmy przez te wszystkie królestwa gwiaździste, przestrzeń bezdenną, systemy wielobarwne. Słońca, światy, komety, cudowne gwiazdy lecą pod naszemi nogami, a my pędzimy dalej... dalej... Po upływie wieku, kilku wieków, po miliardzie wieków tej fantastycznej wędrówki, szybkiej jak błyskawica i bezustannej, jeżeli zechcemy rozpoznać, gdzie jesteśmy, odnaleść okiem granice horyzontu, który właśnie przed nami ucieka, zatrzymać się na chwilę, aby zmierzyć myślą przebytą przestrzeń... olśnieni tylu wspaniałościami, przerażeni niezgłębioną potęgą nieskończoności, będziemy jednocześnie zachwyceni i rozczarowani, zadziwieni lecz zniechęceni tem, że w rzeczywistości nie poruszyliśmy się ani na jeden krok w przestrzeni! Jesteśmy tylko w przedsionku nieskończoności... zupełnie tak, jak byliśmy, wybierając się w drogę.“

* **Zjawiska ziemskie** przez Elizeusza Reclus, II. Morza i meteory, przełożyła dr. M. Stefanowska. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1895.

Uważany za najznakomitszego dziś geografa, Elizeusz Reclus, głośny uczony francuski, głośniejszy jednak jeszcze jako jeden z apostołów anarchizmu w dziełku tem dał bardzo interesującą lekturę dla ludzi, lubiących zapoznawać się z postępami nauki. Rzecz naturalna, że anarchizmu tu ani śladu, za to czytelnicy z książki niniejszej będą się mogli dobrze zaznajomić z oceanografią i z tak ciekawym i zajmującym przedmiotem jak klimatologia i meteorologia. P. Stefanowska tłumacząc dziełko, niektóre jego rozdziały uzupełniła za zezwoleniem autora lub przerobiła przy pomocy innych dzieł.

Rozmaitości.

— **Królowa Korei.** Urzędowy tytuł królowej Korei brzmi: „Jasność Poranku“. Jej nazwiska nie wolno wymawiać nikomu. Jest to przywilej, należący wyłącznie do jej pana i władzcy. Dla dworu i narodu jest ona żoną nr. 1. Królowej nie oglądał nigdy nikt z wyjątkiem króla i eunuchów. Nie wychodzi nigdy, gdyż dla niej surowszymi są niż dla reszty śmiertelniczek przepisy, dozwalające wychodzić kobietom na ulicę tylko wieczorem w godzinach, w których mężczyźni są uprzedzeni, iż drogi publiczne należą do kobiet, a oni powinni pozostawać w ukryciu. Tylko niewolnicy, kobiety z otoczenia i od czasu do czasu rzadkie cudzoziemki bywają do niej dopuszczane. Te ostatnie, jeżeli chcą ujrzeć królowę, muszą posiadać wielkie wpływy i potężną protekcyę. Pewna Amerykanka, posiadająca i jedne i drugie, niedawno zdołała dotrzeć do władczyni Korei. Z jej dziennika, w którym spisała swe wrażenia, czerpiemy następujące szczegóły:

Rezydencya królów koreańskich mieści się w Hanyany, zwanem przez Europejczyków niesłusznie Seoul, wyraz ten bowiem w języku koreańskim oznacza wogóle stolicę. Seoul niegdyś, jak i Pekin, był obozem hord koczowniczych. Powoli miasto ulegało przekształceniu i jest na kasty rozmaite podzielone, zgodnie z hierarchią azyatycką, której fundamentem jest niewolnictwo, wierzchołkiem despotyzm, a spajającym cementem buddyzm.

Podobnie jak w Pekinie, pałac jest miastem w mieście; jego gmachy, ustawione bez porządku, przypominają dzielnice, znajdujące się w sąsiedztwie. Mur kamienny otacza *yamen* królewski, do którego prowadzi tylko jedna droga, prosta, brudna, źle utrzymana, która rozszerza się i tworzy plac. Na nim wznosi się portyk o trzech łukach. Przeszedłszy próg portyku, oko błądzi pomiędzy budynkami, zupełnie jednakowemi, rozsypanemi w nieładzie i oddzielonemi od siebie dziedzińcami, sadami i kwaterami kwiatów. W ugrupowaniu gmachów nie znać żadnego porządku ani symetryi. Są tu zamiast jednego pałacu liczne pałace, jeżeli taką nazwę można dać budynkom, z pozoru dość skromnie wyglądającym. Jeżeli zapytacie o przyczynę tej dziwacznej mięszaniny budynków, odpowiedzą wam, iż monarcha rzadko sypia kilka nocy z rzędu w jednym domu i że zmienia nieustannie mieszkanie, by uchronić się od puginału mordercy. Tylko kilka osób, wypróbowanej wierności, z najbliższego otoczenia, wie, gdzie monarcha wybrał sobie chwilowe miejsce zamieszkania. Żona nr. I towarzyszy mu wszędzie. Jest to prawem i obowiązkiem, a zarazem i przywilejem, o który dba niezmiernie i który daje jej niezaprzeczoną wyższość nad innemi małżonkami, nieusprawiedliwioną ani pięknością, ani młodością, gdyż królowa jest już dość stara i brzydka; nadto zapewnia to udział w załatwianiu spraw państwowych. Temu ostatniemu zadaniu godnie odpowiada przez swą inteligencyę i zręczność. Królowa pochodzi z dostojnej rodziny książęcej Min i od młodego wieku przyzwyczajona jest do rozkazywania.

Bardzo rzadkich audyencyi wysoko położonym cudzoziemkom udziela w swym specyalnym pałacu. Audyencye te odbywają się podług ceremoniału, raz na zawsze ustanowionego. Osoba, która ma dostąpić tego zaszczytu, bywa zawiadamianą na trzy dni wcześniej. Przybywa po nią eskorta i towarzyszy jej lektyce, z której dama, udająca się na audyencyę, wysiada w obszernym przedpokoju, gdzie przyjmuje ją szef eunuchów. Poprzedzana przez grono młodych niewolnic, udaje się do salonu audyencyonalnego. Urządzenie tego pokoju jest proste i wykwintne zarazem. Flagi i girlandy zdobią ściany, wszędzie porozstawiane małe stoliczki, których wysokość wynosi zaledwie 56 centymetrów, w około jedwabne sofy, grube dywany i miękkie poduszki.

Portyera uchyla się i zjawia się królowa eskortowana przez służebne i niewolnice, wybrane z pośród kobiet najpiękniejszych. Przyjęcie odznacza się serdecznością, a rozmowa, chociaż toczona za pośrednictwem tłómacza, nie pozbawiona uroku. Pierwszy rzut oka usposabia przychylnie dla władczyni. Wysokie czoło, dobrze rozwinięte, świadczy o niepospolitej inteligencyi, której odbicie czytać można i w oczach czarnych, wydłużonych i ukośnych, w spojrzeniu, pełnem powagi i godności. Cerą przypomina metysów indyjskich. Wzrostu trochę wyższego niż średni, figury wysmukłej i, pomimo dość podeszłych lat, kształtnej jeszcze, sprawia wrażenie siły fizycznej, połączonej z wysokimi przymiotami moralnymi i upodobania do rozkazywania, miarkowanego wrodzoną godnością.

Mimowoli wzrok zwraca się na bliznę, którą królowa ma na szyi. Jest to pamiątka po ranie, otrzymanej szablą podczas rokoszu Taï-Wen-Kung, w którym królowa okazała wiele odwagi i który stłumiła z pomocą okrutnych środków represyjnych. Jej suknie, w których gust wschodni przejawia się żywością kolorów, zrobione są z drogich materyj i z najcieńszych jedwabiów, a obuwie misternie wyszyte perłami. Jej biżuterye składają się z ciężkich i długich szpilek do włosów, ozdobionych drogiemi kamieniami, z pierścieni i bransolet, inkrustowanych brylantami i agraf ze złota cyzelowanego. Drogocennych ozdób królowa posiada mnóstwo, podobnie jak i sukni od uroczystych przyjęć. Zapełniają one kilkanaście komnat, i właścicielka chętnie je pokazuje gościom, oczarowanym najrzadszemi materyami chińskiemi i japońskiemi.

Jeżeli wierzyć tym, którzy w bliskich pozostają z nią stosunkach, królowa jest zręcznym politykiem i tajemnice, oraz wybiegi dyplomacyi azyatyckiej są jej wybornie znane. Jej sympatye są stale po stronie Chin z jednej, a po stronie Stanów Zjednoczonych z drugiej strony. Za radą monarchini wezwano do rady królewskiej pp.: Greothose, Chassot, Long, Legendre i innych Amerykanów. Ona też zaprowadziła w pałacu światło elektryczne i telefony, a w jej skarbcu pierwsze miejsce zajmują zegary, rewolwery i maszyny do szycia wyrobu amerykańskiego.

Niepomyślny obrót wojny z Japonią nie rozluźnił węzłów, łączących jej państwo z Chinami. Korea nie przestała być prowincyą lenną Chin nominalnie, a w rzeczywistości niezależną i tylko z Chinami sprzymierzoną. Królowa wszelkiemi siłami starała się zaprowadzić na dworze w Seoul ceremoniał i zwyczaje dworu pekińskiego.

Swym narodem niewolników rządzi jak władczyni absolutna, pani ich życia i śmierci.

Ceremoniał przepisuje, że król nie może odwiedzać królowej w nocy, dopóki pałacu nie opuszczą wszyscy dworscy, z wyjątkiem garderobianej i niewolnic. Król winien powrócić do swego mieszkania przed pierwszem pianiem koguta. Koguty są dość rzadkie w pałacu i niekiedy zaniedbują się w obowiązkach. Z tego powodu muszą je zastępować niewolnice, które lekkiem stukaniem do drzwi oznajmiają, że świtać zaczyna. Pewnego razu niewolnica zaniedbała swych obowiązków, i gdy król obudził się, dzień był już jasny. Królowa przekonała się, że niewolnica była na posterunku, ale spała snem mocnym. Nie chcąc pozostawiać winy bez kary, a pragnąc jednocześnie oszczędzić występnej mąk śmierci, zawołała szefa eunuchów i kazała ją ściąć we śnie. Podobno od tej pory tego rodzaju uchybienia przeciwko etykiecie nie powtarzały się.

Królowa przepędza z królem większą część dnia. Podczas narad z ministrami pozostaje ukryta za ażurowym ekranem, zkąd słyszy i widzi wszystko. Z apartamentów męża wychodzi zawsze ostatnia. W godzinach wolnych od tych zajęć zajmuje się gospodarstwem domowem. Pod jej kierownictwem niewolnice pracują nad drogimi i delikatnymi haftami, a znaczna ich liczba zajęta jest utrzymaniem porządku w apartamentach. Kuchnia jest chińska, ale usługa w niej japońska. Dotychczas jeszcze żadnemu Europejczykowi nie udało się zasiąść u królewskiego stołu. Czułby się zresztą tam niezupełnie na swojem miejscu, bo nie każdy może przysiąść na macie przy stole 30 cm wysokim, na którym za narzędzia do jedzenia służą tylko pałeczki, a papier chiński zastępuje serwety. Pożywienie królewskie — jak się domyślać należy — musi być dość smaczne, bo kucharstwo w Korei stoi wysoko, a ciasta i cukry zyskały sobie rozgłos.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie targu zbożowego.** Podwołoczyska 9 marca.

Po dłuższej stagnacyi nastąpił wreszcie tak długo oczekiwany zwrot ku lepszemu. Ceny wszystkich prawie produktów idą w górę, a zachodzi usprawiedliwiona nadzieja, że obecna tendencya zwyżkowa dłużej potrwa. Najbardziej poszły w górę ceny pszenicy, za którą przed trzema jeszcze tygodniami płacono 6·20—6·30, podczas gdy dziś notuje 7·10 do 7·20 za 100 kilogr. netto loco Podwołoczyska. Główną przyczyną tej nagłej zmiany są przedewszystkiem małe zapasy, a następnie niezwykłe zawieruchy śnieżne, które naszym producentom mocno przeszkadzają w obecnym czasie młócby.

Dziś notuje zboże krajowe: pszenica 7.00 do 7·25, żyto celne 4·60—4·80, średnie, mniej poszukiwane, 4·30—4·40, jęczmień browarny przedniej jakości 4·60—4·85, średni 3·90—4·30, owies w miarę jakości 4·50—5·, siemię konopne bardzo poszukiwane 8·50—8·75, groch Wiktorya (wybierany) 7·— do 8·—, konicz czerwony 40·00—60·00, konicz biały 80·— do 100·—, tymotka 25·— do 35·—

Ruch zbożowy z Rosyi ciągle jednostajny, przeciętnie przybywa około 30 wagonów dziennie rozmaitego gatunku zboża. Ceny zboża rosyjskiego; z wyjątkiem pszenicy, mało się zmieniły.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 11 marca. Na dzisiejszy targ przypędzono 1400 wołów, z tego 373 z Galicyi. Płacono 52 do 63 zł. za 100 kilo żywej wagi.

§ **Ceny zboża.** Wiedeń 11 marca. Pszenica na wiosnę 6·78. żyto na wiosnę 6·78, owies na wiosnę 6·32.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 12 marca. (*Rada państwa*). Wczoraj ukończono debatę jeneralną nad reformą podatkową. Przemawiali w niej pp. Byk i Gross za reformą, a p. Doetz przeciw niej. P. Byk zaznaczył, że projekt obecny odpowiada dwom słusznym postulatom, t. j. zastosowuje system podatkowy do gospodarczego rozwoju i przyznaje ludności udział w wymiarze podatków, nie odpowiada jednak w zupełności trzeciemu ważnemu postulatowi, t. j. nie uwzględnia tak jakby należało potrzeb finansowych zarządów autonomicznych. Mamy w Austryi gminy, w których potrzeba rozpisywać dodatki do podatków po 100, 200, 400, a nawet i 1000%. Dobrą stroną reformy jest to, że ustala kontyngent podatku zarobkowego, tudzież, że tworzy krajowe komisye podatkowe i dzieli ludność na t. z. koła podatkowe. Wszelako niejedno dałoby się zarzucić składowi tych komisyi. W pierwotnym projekcie rządowym proponowano, aby komisye te składały się w dwóch trzecich z członków wybranych, a w jednej trzeciej z mianowanych, tymczasem komisya podwyższyła liczbę mianowanych członków do połowy. Następnie odparł mówca złośliwe zarzuty opozycyi o jakichś „podarunkach dla Polaków“ tudzież, że wszyscy Polacy bez wyjątku zajęli stanowisko czysto agrarne. Owóż Polacy wiedzą dobrze o tem, że pochodzą z kraju, którego głównem źródłem dochodu jest rolnictwo. Ono wywiera swój wpływ na wszystkie stosunki życia w Galicyi, ono przyczynia się do rozkwitu miast, a nawet widowiska publiczne wtedy mają większe powodzenie, gdy żniwa są lepsze. Na odwrót i rolnicy pamiętają dobrze o tem, że rozwijające się miasta, będące najważniejszym konsumentem, są potężną dźwignią rolnictwa. Nic zatem dziwnego, że Polacy bronią uzasadnionych interesów rolnictwa. (Oklaski).

P. Gross zaznaczył, że średnie warstwy ludności miejskiej obawiają się, że będą najbardziej dotknięte podatkiem osobisto-dochodowym; p. Doetz zaś domagał się, ażeby kontyngent podatku gruntowego nie przewyższał kwoty 25 milionów.

Po przemowie p. Doetza postawiono wniosek zamknięcia debaty.

Prezydent zarządził głosowanie i oświadczył, że wniosek ten przyjęto 103 głosami przeciw 4. W sali powstał hałas i dały się słyszeć głosy protestu, a antysemicki poseł Gessmann zarzucił, że podczas głosowania nie było w sali więcej jak 80 posłów. Prezydent skonstatował, że skrutatorowie dobrze liczyli i że było 107 posłów.

Mówcami jeneralnymi wybrano p. Mengera *pro*, a p. Kramarza *contra*. P. Kramarz przemawiał za tem, ażeby Izba nie wchodziła w debatę szczegółową nad tym projektem, który jest dopiero pierwszym wymagającym dalszego rozwoju zapędem do reformy podatkowej.

Na tem przerwano debatę. Następne posiedzenie odbędzie się dziś.

Nowy York 12 marca. Do tutejszego *World*a donoszą z Tokio, że Chiny oświadczyły gotowość przyjęcia warunków pokoju, podyktowanych przez Japonię.

Ateny 12 marca. Jacht rosyjski „Carewna“, na którego pokładzie znajduje się tutejszy poseł rosyjski, osiadł na mieliźnie koło Drepano. Wysłano stąd dwa parowce, ażeby go wyrwały z tej mielizny i przyciągnęły na pełne morze.

Królowa Olga i następca tronu z żoną odpłynęli do Korfu, aby powitać rosyjskiego następcę tronu wielkiego księcia Jerzego, który po krótkim pobycie na tej wyspie uda się do Algieru.

Wiedeń 12 marca. Do dzienników tutejszych donoszą z Berlina, że Cesarz Franciszek Józef przyjął zaproszenie cesarza Wilhelma do wzięcia udziału w uroczystości otwarcia kanału między morzem Niemieckiem a Baltyckiem i uda się na tę uroczystość do Kilonii.

Petersburg 12 marca. Wczoraj przywieziono tu zwłoki wielkiego księcia Aleksego i złożono je w cerkwi Petropawłowskiej.

Wiedeń 12 marca. Dzienniki tutejsze donoszą, że bawiący tu prezes ministrów bułgarskich Stoiłów zgodził się na uchwały powzięte wczoraj przez austro-węgierską konferencyę celną, że zatem zatarg między Austryą a Bułgaryą z powodu zaprowadzenia akcyzy można uważać za załatwiony.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 11 marca. T. hr. Stadnicki z Gumnisk. S. hr. Potocki z Skałatu. H. hr. Audenhowe z Węgier. P. hr. Norman z Węgier. M baron Wederkopp z Lipska. Dr. Nimhin z Stanisławowa. A. Haberfeld z Hamburga. H. Neuweldt z Wiednia. K. Pollak z Pragi. N. Marnowski z Warszawy. J. Klimczak z Krynicy. J. Mikuli z Czerniowiec.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 marca. St. Jasiński z Gerczowa. St. Zawistowski z Supranówki. S. Lindenbaum z Drohobycza. J. Lindenbaum z Drohobycza. H. Horowitz z Mieczyczanowa. Dr. Horowitz z Wiednia. J. Krzysztofowicz z Modzelówki.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 marca. St. Tustanowski z Żurawna. Wł. Krasnopolski z Latacza. K. Abgarowicz z Weleśniowa. A Farkas de Felsö-eor z Tarnopola F. Kraus z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wszystkim, którzy raczyli wziąć udział w oddaniu ostatniej posługi przedwcześnie zgasłemu Najdroższemu, jedynemu Synowi mojemu śp. Szczesnemu Kubickiemu, ukończonemu prawnikowi, a w szczególności Przewielebnemu Duchowieństwu, kolegom, przyjaciołom i znajomym zmarłego za liczne dowody prawdziwego współczucia z głębi zbolałego serca składam podziękowanie stroskana matka Aniela Kubicka i dziadek J. Obrecht.

Lwów dnia 12 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 224 — do 227·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasski po 200 zł. w. a. 306.— do 309 —, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 455.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102 —, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.40 101·10, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Wiedeń 11 marca. Notowania wieczorne Kredyty 393·25, węgierskie kredyty 458·50, anglobank 170·25, bankverein 155·80, uniony 317·—, länderbank 287·80, akcye kolei państwowych 400·25, lombardy 110.—, elbethal 276.—, akcye tytoniowe 255.—, rima 266·25, alpiny 83·75, renta majowa 101·30, węg. renta złota 124·20, austr. renta koronna 101·00, węgierska renta koronna 99.20, losy tureckie 78·90, marki 60·48, ruble 132·—.

Wiedeń 12 marca (godz. 11 w południ.) Kredyty 394.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 170.75, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 288.10, Akcye tyton. 255.25, Staatsbahny 402.15, Lomb. (z kup.) 110.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.40, Losy tureckie —·—

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia Wrocławia, Berlina	2·24	10·10	4·30	10·35	6·55
Warszawy	—	10·10	4·50	—	6·55
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	7·10	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg przez Tarnów	—	—	4·50	—	—
M.-Kr. Żeg przez Stryj	—	—	—	7·10	
Mezö-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemysl	—	—	—	—	6·55
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	10·10	4·50	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6·08	2·44	9·40	10·20	—
„ „ z Podz	6·22	2·36	10·04	10·47	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	10·30
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	10·30
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	10·30
Nowosielicy	6·15	—	—	—	10·30
Berhometu. Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	10·30
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	6·45	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	5·40	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	5·40	—	7·10
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	7·10
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	8·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	6·10	9·00
Warszawy	—	5·25	9·00	—	9·00
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	9·00
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	6·10	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	9·29	9·10	5·45	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	9·13	8·45	5·19	—
Suczawy	9·40	—	7·37	12·27	6·35
Kimpolungu	9·40	—	7.37	—	—
Radowiec	9·40	—	7·37	—	6·35
Berhometu i Czudyna	9·40	—	—	—	—
Nowosielicy	9·40	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	9·40	—	—	—	6·35
Husiatyna przez Halicz	9·40	—	7·37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	12·10	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr i Stanisł. przez Stryj	—	—	8·34	12·10	—
Stryja i Skolego	—	—	8·47	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

48)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Och! nazwij mnie od razu kłamcą i niegodziwcem i niech raz temu będzie koniec! — zawołał dziko.

Nastała długa chwila przykrego milczenia pomiędzy małżonkami. Andrzej spuścił ku ziemi twarz chmurną i zbolałą. Gorący rumieniec wystąpił mu na lica.

— Należy przypuścić, że biedna maleńka dostała się w dobre ręce — odezwała się w końcu bardzo łagodnie. — Ci, którzy ją przygarnęli do siebie, musieli to uczynić w dobrych zamiarach. Cóżby im bowiem przyszło z takiej odrobiny?

Ale Andrzejowi stanął w pamięci człowiek oskarżony o wykradzenie i zamordowanie czteroletniej dziewczynki, którego sprawy bronił niedawno przed sądem. Nie mogąc sobie dać rady, udał się do ojca, ale ten nie dodał mu otuchy.

— Wziąłeś na siebie wielką odpowiedzialność i nie powinieneś składać jej na drugich — rzekł jenerał. — Cała wina ciąży teraz na tobie. Nie wiem nawet, jak wypada ci postąpić, jeżeli zdołasz ją odszukać. Nie masz, właściwie mówiąc, żadnego prawa do opiekowania się tem dzieckiem.

— Dziecko musi się odnaleźć — rzekł Andrzej do zaufanego sługi swego, Boba. — Nie zaznam chwili spokoju, dopóki jej nie ujrzę na własne oczy.

— Dlaczego mi pan nie przykazał mieć jej na oku? — z żalem zapytał Bob.

— Ach! nie przeszło mi to przez myśl! A dziś już zapóźno... zapóźno! Boże! co ja uczyniłem!

— Niechże się pan uspokoi. Mała musi być pod czyjąś opieką. Któżby miał serce krzywdzić takie biedactwo? Zresztą... pan przecież nie ma żadnego prawa nad nią... żadnego obowiązku...

— Właśnie, że mam! — wybuchnął Andrzej.

— Kiedy tak... no, to już przyznam się... Nie przystoi mi sądzić pańskich czynów, ale jak tylko zobaczyłem tę młodą kobietę, zaraz pomyślałem sobie...

— To była żona moja, Bobie... ślubna żona. Byłem przekonany, że umarła, aż do dnia kiedy ujrzałem ją na łodzie.

— Wielki Boże!

— Zaufałem ci, Bobie... tobie jednemu na świecie... Pamiętaj! Nikt nie zna tajemnicy mojej przeszłości, nawet moja żona...

— Powinna wiedzieć o tem, panie — poważnie przerwał Bob. — Nie godzi się utrzymywać jej w nieświadomości.

— Znajdź tylko dziecko! znajdź dziecko! O to jedno błagam cię i proszę!

Ale dziecko nie zostało nigdy odszukane

ROZDZIAŁ V.

Maleńka i wątła dziecina, której przyjście na świat omal że nie kosztowało życia matki, wyrosła na ładną dziewczynkę, drobną i delikatną, która z dniem każdym droższą się stawała sercu ojca. Chłopczyk urodził się po niej, kiedy Ada zaczynała już rozkosznie szczebiotać, a mały braciszek uważany był przez Andrzeja głównie w charakterze towarzysza zabaw starszej siostrzyczki, której z czasem stał się najwierniejszym poddanym i niewolnikiem. Po nim przyszły z kolei inne dzieci, z których każde mile było witane w rodzinnem gronie, ale żadne tak jak ten wiotki, pierwotny kwiatek, zrodzony z miłości i cierpienia.

Andrzej był zbyt rozsądny i sprawiedliwy, aby robić różnicę pomiędzy dziećmi; ze wszystkiemi więc obchodził się jednakowo serdecznie i po ojcowsku i tylko żona i matka spostrzegały blask, jakim rozpromieniały się nagle jego oczy, kiedy dotykał dłonią jedwabistych splotów Ady i oddźwięk zdwojonej czułości w jego głosie, kiedy przemawiał do tego wybranego dziecka swego serca

Lekka skłonność Ady do kaszlu przyprawiała go o ciągły niepokój.

— Ten kaszel rani mnie w same piersi — rzekł raz zdesperowany do Gracyi, która upewniała go o bezzasadności tych obaw. Wieści o pojawiających się w okolicy dziecinnych chorobach przejmowały go śmiertelną trwogą. Wysyłał ją wtedy czemprędzej z domu dla uniknięcia zarazy.

— Zdaje mi się doprawdy, Andrzeju, że zgodziłbyś się, aby wszystkie dzieci pochorowały się na odrę, byle tylko upewnić się, że Ada jej nie dostanie — rzekła doń pewnego razu matka.

— Niewątpliwie — odparł ze szczerością. — Malcy są takie tęgie i zdrowe, że nicby im się złego nie stało.

— Dziwi mnie, że Gracya nie jest zazdrosną o tę małą — rzekła lady Zuzanna. — Niezadługo usłyszymy, że Ada jedzie z tobą na sądy.

— Dlaczego nie? W tej małej główce jest więcej rozumu, niż we wszystkich siwych perukach sędziów całego kraju.

— Z wyjątkiem, rozumie się, pana Andrzeja Marlowe.

Ada obdarzona była żywą wyobraźnią i należała do rzędu tych dzieci, które każdem odezwaniem się zastanawiają, zachwycają lub przerażają starszych. „Kiedy byłam małym ptaszkiem“ — zaczynała mawiać, rozpoczynając długie opowiadanie czysto fikcyjnych przygód zrodzonych w jej główce, pracującej wciąż z natężeniem, nie wróżącem dobrze o jej zdrowiu.

— A kiedyż ty byłaś małym ptaszkiem, Adeczko? — pytał ojciec, biorąc w ramiona smukłą, podobną do aniołka na obrazku postać i tonąc w niej rozmiłowanym wzrokiem, w którego blaskach zdawała się skąpaną jak śnieżna lilijka w słońcu.

— Kiedy? — powtarzała mała czarodziejka, figlarnie mrugając szafirowemi oczkami. — No... wtedy!...

A gdy ją łagodnie strofowano, mówiąc, że to nie jest właściwa odpowiedź, wybuchała dźwięcznym, srebrzystym śmiechem i zarzucając rączęta na szyję ojcu, szeptała wśród pocałunków:

— Oj! tatusiu! ty sam tego nie pamiętasz, a jakże ja mogę?

— Miałam raz małą siostrzyczkę — zaczęła opowiadać pewnego razu z gniazdka utworzonego przez ojcowskie ramiona. — Nazywała się Adzia... tak jak ja. Ale była to biedna dziewczynka, bo tatuś jej nie kochał, więc...

— Ado... — przerwał ojciec gwałtownie poruszony.

— Tak — ciągnęła dalej poważnie. — To było bardzo, bardzo smutne. Czasem płaczę całą noc, kiedy myślę o tem — dodała, wzdychając głęboko.

— Mówisz bez sensu, duszyczko. Wiesz, że to nie jest prawdą — upominał ją Andrzej.

— O, tak! To było wtedy, kiedy byłam małym ptaszkiem — zapewniała dzieweczka, śmiejąc się serdecznie. I odtąd wspominała ciągle o tej drugiej Adzi, tej biednej siostrzyczce, której tatuś nic a nic nie kochał, rozkoszując się porównaniem swojej szczęśliwej osóbki z tą urojoną, drugą istotą, pozbawioną tych wszystkich rozkoszy, w jakie ona opływała. Zdarzało jej się nawet czasami łzy litości wylewać nad tem widmem swojej dziecięcej wyobraźni.

— Ale gdzież jest ta druga Adzia... ta biedna Adzia? — pytała niekiedy znienacka w burzliwą noc zimową, kiedy dzieci zgromadzone były dokoła kominka. — Biedaczka! nie ma ani mamy, ani tatusia, ani ognia, ani domu, ani nic!...

— Odziedziczyła zdolności ojca, a błędy matki — śmiejąc się, mówiła Gracya do męża. — Trudno było istotnie rozstrzygnąć, do kogo Ada była więcej podobną; twarzyczka jej przedstawiała połączenie rysów obojga rodziców, co ją tem droższą czyniło ich sercu; widzieli bowiem w niej żywy symbol swego związku.

Gracya i Andrzej poczytywali sobie za święty obowiązek osobiście wychowywać swoje dzieci. Żadna obca osoba, zdaniem ich, nie mogła zastąpić ojca i matki w nadaniu właściwego kierunku młodocianym umysłom, ani rzucić w ich serca bujnego posiewu dobrych zasad. Przejęci całą odpowiedzialnością, ciążącą na nich pod tym względem, młodzi rodzice przestawali prawie ciągle z gromadką dzieci, ucząc je słowem i przykładem, kształcąc moralnie i naukowo zarazem.

Tymczasem rozkoszny maj zazielenił się znowu nad światem. Marlowowie spędzali Zielone Świątki w Swanbourne. Ada była już dziewięcioletnią śliczną dzieweczką o bladej nieco, ściągłej twarzyczce, zaróżowionej delikatnie ciągłem przebywaniem na świeżem powietrzu i o wielkich, rozumnych oczach, przypominających matczyne. Fruwała jak biały motylek po trawniku, zbierając złociste jaskry z pomocą wiernego swego Jerzego i drugiego, młodszego braciszka. Gracya słodko choć poważnie zamyślona, przechadzała się w pobliżu, przyglądając się zabawie dzieci. Lata przeszły po niej prawie niepostrzeżenie, pogłębiły tylko duchowy urok jej spojrzenia. To, co było zapowiedzią przyszłości w rysach dziewczęcej twarzy, stało się rzeczywistością w trzydziestoletniej kobiecie, która dosięgnęła pełni rozwoju swego fizycznego i umysłowego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.